Dziś w numerze: Łodzianin w Monachium • Władza do objęcia • Pisarz na wojnie • Spółdzielnia 10.000.000 • Jeszcze o Reymoncie • Literatura łużycka • Żołnierze, big-beat i pieniądze • Recenzje • Felietony

odgłosy

Nr 8 (422)
26. II. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

„W kosmos"

Foto: TASS

Znana jest anegdota o Napoleonie, który czynił wymówki burmistrzowi jednego miasta, że nie witano go strzelaniem z armat ale gdy dowiedział się, że w mieście nie ma armat uznał burmistrza za usprawiedliwionego. Jak wygląda w Łodzi sprawa tych armat koniecznych do zamanifestowania działalności środowisk artystycznych? Przypomnijmy: trzy teatry dramatyczne dysponujące pięcioma scenami, teatr lalkowy, operetka, opera, filharmonia, trzy wytwórnie filmowe — każda o innym profilu — studio dubbingowe, tygodnik społeczno-kulturalny, dwutygodnik satyryczny, rodzący się kwartalnik literacki, wydawnictwo literackie. Obok tego rozgłośnia radiowa i ośrodek telewizyjny — prowadzące przecież także rozległą działalność artystyczną. Obok tego trzy Wyższe Szkoły Artystyczne. Armat, jak widać, nie brak w naszym mieście i trzeba przyznać, że niewiele jest w Polsce ośrodków, które by swoim pisarzom, muzykom, plastykom czy aktorom oferowało równie wszechstronnie rozbudowany warsztat pracy. Oczywiście poszczególne elementy tego warsztatu mają swoje braki i niedostatki o których mówi się głośno i które usuwać należy, lecz w sumie środowiskom artystycznym Łodzi nie brak żadnego zasadniczego warsztatu pracy a rozwój i udoskonalenie tych, które istnieją jest zadaniem równie niezbędnym, jak i nieskończonym, jako że poziom naszych wymagań i potrzeb wzrastał będzie nieustannie wraz z postępem techniczno-organizacyjnych rozwiązań w tych dziedzinach. Podobno użytkownicy niedawno oddanego do eksploataeji Teatru Wielkiego już mowią o dokuczających im brakach w pomieszczeniach i nie widzą w tym nic niezwykłego.

Warsztat pracy artystycznej jest więc w Łodzi chyba kompletny a jego tu i ówdzie niewątpliwe zacofanie nie jest odpowiedzią na pytanie, które próbujemy choć w części rozpatrzyć. Może więc nie baza materialno-organizacyjna pracy środowisk artystycznych, lecz ich postawa, stosunek do tego co się w Polsce tworzy sprawiają, że o dorobku tych środowisk nie mówimy z pełnym zadowoleniem? Nie ma, jak sądzę żadnych argumentów podtrzymujących taką tezę, czemu zresztą daje jednoznaczny wyraz i dzisiejszy referat sprawozdawczy.

W artystycznych środowiskch łódzkich nie znalazły aprobującego rezonansu fakty i tendencje, które przez kilka ostatnich miesięcy były treścią codziennych, namiętnych a czasem i histerycznych rozmów tych samych środowisk w stolicy. Mówiło się o tych sprawach i w Łodzi, najpierw z irytacją spowodowaną niedostatkiem informacji, potem z zakłopotaniem wynikającym z niemożliwości zrozumienia motywów kierujących niektórymi autorami tych wydarzeń — wielu z nich przecież szanujemy i cenimy — mówi się o tym wreszcie z żalem ale i z dezaprobatą wobec czyniacych niezrozumiałe gesty warszawskich kolegów. Niezrozumiałych, bo nie można zrozumieć dlaczego oczywiste prawo do własnego zdania miałoby mieć aż taką wagę, aby kwestionowało również oczywiste prawo Partii do rozstania się z człowiekiem nie godzącym się z jej poczynaniami. Myślę, że przy całym szacunku, dla swojego zawodu, łódzcy pisarze i artyści nie traktuja go jako posłannictwa, że odrzucając wszystkie uproszczenia i pomyłki tzw. „socrealizmu" nie mają także ochoty zachować na użytek i tego poglądu, który w pisarzu, w artyście widział „inżyniera dusz ludzkich" — nadczłowieka o wyjątkowej dla narodu wartości, nie znajduje uznania wśród łódzkich artystów pogląd, że myśl, każda wątpliwość, każdy niepokój artysty, warta jest tego, aby wszyscy pochylali się nad nimi z zatroskaną uwagą i współczuciem.

Skąd wzięła się w naszych środowiskach ta niezbędna doza skromności i poczucia odpowiedzialności, dzięki którym z rozwagą i rozsądkiem ustosunkowaliśmy się do tego co działo się w podobnych nam warszawskich środowiskach? Byłoby grubym uproszczeniem wyjaśniać tę sprawę uprzedzeniami, jakie budzą się tu wobec stołecznych artystów traktujących kolegów z Łodzi jako „tych z prowincji". Myślę także, że i wznowienie działalności POP w Łódzkim Związku Literatów Polskich sprawy nie tłumaczy do końca; przecież w warszawskim oddziale ZLP organizacja partyjna istnieje od dawna i bez przerwy a właśnie tam objawy zamętu wystąpiły najostrzej. Sedno sprawy leży w tym, że członkowie naszych środowisk literackich i artystycznych są na co dzień związani z dniem powszednim mieszkańców miasta, mocno trzymają się nogami ziemi.

Codzienne kontakty z odbiorcą mają decydujący wpływ na kształtowanie się poglądu artysty na jego rolę i miejsce w społeczeństwie. One też umożliwiają właściwe spojrzenie artysty na jego własne kłopoty i wątpliwości, które widzi w kontekście ogólniejszych trudności i pragnień.

EDWARD SZUSTER

(Fragmenty wystąpienia na XII Łódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR).

ŚWIATA

Zniweczenie przez Stany Zjednoczone wszystkich nadziei, jakie rodziły się z trzecią przerwą w działaniach wojennych w Wietnamie, znajduje żywy oddźwięk na całym świecie. Wygasł optymizm, powtarza się ciągle pytanie: co teraz: Hanoi nadal sygnalizuje dobrą wolę, nadal też podejmowane są wysiłki przez kraje trzecie, aby skierować konflikt na drogę politycznych rozmów. Waszyngton jednak wydaje się pozostawać głuchy na te wszystkie głosy. W prasie amerykańskiej, coraz częściej niezbyt przychylnej decyzji Johnsona o wznowieniu barbarzyńskich nalotów na Demokratyczną Republikę Wietnamu, pojawił się nowy element — próba usprawiedliwienia tej decyzji wewnętrznymi rozgrywkami. „New York Post" pisze na ten temat: „Johnson najwyraźniej nie mógł znieść myśli, iż Robert Kennedy miałby zyskać choćby część uznania za odmrożenie kontaktów z rządem w Hanoi".

Tak więc nawiązując do europejskiej podróży tego ostatniego i jego wypowiedzi na temat Wietnamu — próbuje się stworzyć wrażenie, że Johnson, owszem, byłby gotów negocjować, ale nie pozwalają mu na to względy wewnętrzne. Jest to po prostu jeszcze jedna próba ukształtowania mitu. Prawda jest bowiem inna — Waszyngton podtrzymuje agresję, ponieważ chce zmusić stronę przeciwną do przyjęcia jego warunków rozwiązania konfliktu.

Z cytowanym „New York Post" — z zastrzeżeniem jednak, że nie chodzi tu o naród, lecz jego przywódców — trzeba natomiast zgodzić się w innym miejscu, wtedy, kiedy pisze:

„Jest rzeczą przerażającą, że za tę wojnę będziemy płacić do końca naszego życia... Chodzi o to, że wojna ta wykończyła nas jako naród zdolny do zajęcia moralnej postawy".

Fakt, że na gesty dobrej woli USA odpowiadają bombami i nową taktyką w walce z partyzantami — w pełni potwierdza słowa „New York Post".

W dalszym ciągu dzisiejszego przeglądu chciałbym zwrócić uwagę Czytelników na rozpoczęte w ubiegłym tygodniu wybory powszechne w Indii. Już w słowie: „rozpoczęte" mieści się indyjska specyfika. W tym rozległym i ludnym kraju wybory mają trwać bowiem przez okrągły tydzień, a głosowanie — z powodu wysokiego procentu analfabetów (76 proc.) odbywa się przy pomocy symboli. W wyborach bierze udział 7 partii uznanych za ogólnoindyjskie i 12 stanowych. W ich wyniku ma się wyłonić 520 posłów Izby Niższej parlamentu oraz ponad 3.500 deputowanych do zgromadzeń stanowych.

Nigdy jeszcze w ciągu 20 lat niepodległości Indii wybory nie przebiegały w atmosferze tak ostrej walki politycznej, jak obecnie. Nigdy też nie dochodziło do incydentów, jakie miały miejsce w ostatnich dniach.

Jakie są powody tej gwałtowności? Stawka, o jaką toczy się walka polityczna, jest wysoka. Chodzi o przyszły kierunek polityki zewnętrznej i wewnętrznej, co uzależnione jest od stopnia zwycięstwa rządzącej od odzyskania niepodległości partii — Indyjskiego Kongresu Narodowego, a precyzyjniej — tendencji w niej występujących. Jak bowiem słusznie zauważył jeden z komentatorów — zagadnienie wyborców sprowadza się nie do tego za czym się głosuje, lecz na kogo.

Najpoważniejsze problemy kraju w chwili obecnej — to wyżywienie ludności i kierunek polityki zagranicznej. Próbką zróżnicowanych ocen, do czego zmierza India, jest wypowiedź byłego ministra obrony — Kriszna Menona, który wystąpił z rządzącej partii i po raz pierwszy kandyduje jako niezależny. Według jego zdania — India coraz bardziej dostosowuje się do żądań Waszyngtonu, co obniża jej prestiż na arenie międzynarodowej.

Upłynie jeszcze kilka dni, zanim poznamy wyniki wyborów w Indii. I trudno dziś przewidywać, co przyniosą. Nie można jednak wykluczać nawet zmian na stanowisku szefa rządu indyjskiego.

Po Wietnamie i Indii poświęćmy jeszcze kilka uwag Komitetowi Rozbrojeniowemu, znanemu pod nazwą: Komitetu 17, który we wtorek, po półrocznej przerwie, wznowił obrady w Genewie.

Spośród wszystkich spraw rozbrojeniowych na plan pierwszy wysuwa się obecnie nierozpowszechnianie broni jądrowej. W ciągu ostatnich miesięcy, na co wskazuje na przykład wizyta premiera Kosygina w Londynie, polepszyły się warunki do zawarcia układu o antyproliferacji. Są więc nadzieje na zawarcie zakazu, chociaż przestrzec trzeba przed łatwym optymizmem. Ta przestroga wynika głównie ze stanowiska Niemiec zachodnich, które — jak już informowałem w ubiegłym tygodniu — określają warunki, na jakich mogłyby przystąpić do układu, czyli inaczej — domagają się pozostawienia furtki, przez którą chciałyby wejść w współposiadanie broni nuklearnej. Wszystko to zmierza do przeszkodzenia porozumieniu i spowodować może określone trudności.

Obrady genewskie obserwować będziemy z dużym zainteresowaniem, tym bardziej, że prócz kwestii nierozpowszechniania broni nuklearnej znajdują się na porządku i tzw. częściowe kroki rozbrojeniowe, których omawianiu sprzyjać będzie z pewnością wstępna decyzja krajów Ameryki Łacińskiej o utworzeniu w tym rejonie strefy bezatomowej.

W. SŁAWSKI

KRONIKA TYGODNIA

■ Minister obrony USA, McNamara, opierając się na dotychczasowych danych, przewiduje, że od lipca 1965 r. do czerwca br. USA straca w Wietnamie 2.275 samolotów. Ogólna ilość strąconych myśliwców wynosi 1.517, helikopterów 987.

■ I sekretarz Albańskiej Partii Pracy Enver Hodża wezwał do „rewolucjonizacji" partii i ustroju państwowego, domagając się, aby masy robotnicze szerzej i skuteczniej egzekwowały swe prawa do krytykowania całego aparatu rządzącego.

■ **Dziennik „Prawda" w artykule pt. „O antyradzieckiej polityce Mao Tse-tunga i jego grupy" pisze, iż wielkomocarstwowa i nacjonalistyczna polityka obecnie spra wującej w Chinach grupy przywódczej oznacza całkowite odstępstwo od marksizmu-leninizmu. Dziennik wyraża przekonanie, iż grupa Mao przygotowuje ChRL „do dalszych awanturniczych poczynań zarówno w dziedzinie polityki wewnętrznej jak i zagranicznej, nie wyłączając również nowych prowokacji przeciwko Związkowi Radzieckiemu".**

■ New York Post w komentarzu na temat wznowienia bombardowań Wietnamu północnego, pisze: „Wznowiliśmy bombardowania Północy i nie ma już żadnych wątpliwości co do naszych motywów... Jest rzeczą przerażającą iż za tę wojnę będziemy płacić do końca naszego życia. Nie chodzi mi o cenę ekonomiczną, aczkolwiek wojna nie przysłuży się na pewno sytuacji naszych miast i położeniu biedoty. **Chodzi o to, że wojna ta wykończyła nas jako naród zdolny do zajęcia moralnej postawy... Prawda polega na tym, że jesteśmy jednym z najbardziej wojowniczych narodów na świecie. Naszymi bohaterami są mordercy z Dzikiego Zachodu, generałowie i bandyci. Kiedy pojawia się przed nami jakiś problem zabijamy, aby go rozwiązać".**

■ Wyniki ankiety przeprowadzonej przez Louis Harrisa wskazują, że 67 proc. Amerykanów popiera bombardowania Demokratycznej Republiki Wietnamu.

■ **Komisja do spraw rewolucji kulturalnej przy KC KPCh wydała zarządzenie, w myśl którego czerwonogwardzistom zabrania się palenia książek i niszczenia pamiątek historycznych.**

■ Instytut Badania Opinii Publicznej w Niemczech zachodnich zebrał informacje na temat stanowiska społeczeństwa NRF odnośnie stanu informacji prasowej o NRD. Jak podaje DPA, 27 proc. osób objętych ankietą uznało, że informacje o życiu w NRD są w prasie zachodnioniemieckiej dostateczne, natomiast 57 proc. wyraziło życzenie, aby informacje te były pełniejsze.

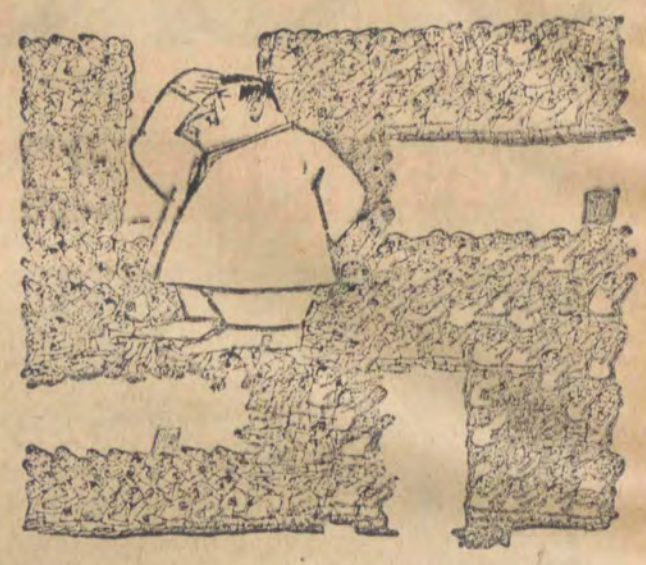

Joseph Strauss i jego wyborcy (Der Spiegel)

■ **W środowiskach akademickich Stanów Zjednoczonych wybuchł skandal. Ujawniono, że amerykańskie organizacje studenckie od lat finansowane były przez centralę wywiadowczą CIA. W komentarzu na powyższy temat dziennik New York Post pisze: „Ale to wszystko jest niczym w porównaniu ze skandalem jaki wybuchnie po ujawnieniu, że centrala Związków Zawodowych była po prostu frontem wywiadu, dywersji, wojny propagandowej, narzędziem podłej, podstępnej roboty jakichś anonimowych ludzi żyjących z zimnej wojny. Co się właściwie dzieje w tym kraju? Dokąd my idziemy?"**

■ W Czechosłowacji nastąpił dalszy spadek przyrostu naturalnego. Sytuacja zdaniem prasy czeskiej wymaga podjęcia szeregu kroków mających na celu faworyzowanie rodzin wielodzietnych. Należy stworzyć takie warunki materialne, aby większość rodzin chciała i mogła mieć co najmniej troje dzieci.

■ Radio Pekin podało wiadomość, że rząd radziecki wydał zakaz dokonywania zdjęć przez korespondentów chińskich przebywających w Moskwie.

■ Publicysta New York Times analizując aktualną sytuację w Hiszpanii pisze, iż takie decyzje reżimu Franco podjęte w ubiegłym roku, jak zniesienie cenzury prewencyjnej oraz ogłoszenie nowej konstytucji — zmierzające do pewnej liberalizacji reżimu spowodowały, że „eksperyment ten zaczyna wymykać się z rąk jego twórców". „Łyk świeżego powietrza", jaki Franco wpuścił do Hiszpanii przerodził się teraz w wicher, który zagraża całej strukturze reżimu.

■ W wywiadzie udzielonym austriackiej gazecie „Die Presse" minister spraw zagranicznych Jugosławii Nikezic oświadczył, że rząd jego gotów jest przywrócić stosunki dyplomatyczne z NRF nie uzależniając tego od uprzedniego zlikwidowania „problemów odziedziczonych po drugiej wojnie światowej". Jedynym warunkiem jest to, by Bonn, jeśli chodzi o nową politykę wschodnią „myślał co mówi".

■ **Przewodniczący Rady Państwa NRD, Walter Ulbricht o wschodniej polityce NRF: pierwszym etapem tej polityki jest rozróżnienie między państwami socjalistycznymi i izolowanie NRD oraz utrzymanie roszczenia do wyłączności NRF. Drugim etapem — generalny atak na NRD i likwidacja rządu robotniczo-chłopskiego. Następnie zaś podjęcie ofensywy przeciwko wschodowi. Państwa Układu Warszawskiego w porę rozszyfrowały tę strategię, podkreślił I sekretarz KC SED. Dlatego żądają one od rządu bońskiego odejścia od jego dotychczasowych celów w polityce zagranicznej.**

■ W Chicago odbyła się 4-dniowa konferencja na temat chińskiej polityki zagranicznej i ogólnoświatowych implikacji aktualnych wydarzeń w Chinach. Wielu uczestników tej konferencji stwierdziło, że na krótką metę w interesie Ameryki leży bardziej to, żeby walcząca frakcja Mao Tse-tunga wygrała walkę o władzę w Chinach, niż żeby zwycięstwo odniosła jego opozycja.

■ Członek Akademii Nauk NRD, dr Gerhard Huber stwierdził, że proces integracji wśród państw należących do EWG jest dalej posunięty niż wśród członków RWPG. Istnieją zdaniem uczonego przynajmniej trzy obiektywne przyczyny, które należy uwzględnić przy ocenie efektów działania obu tych międzynarodowych organizacji. Są nimi: niejednakowy poziom rozwoju ekonomicznego państw, które weszły na drogę budowy socjalizmu, różna baza surowcowa jaką dysponują oraz ograniczona pomoc, jaką Związek Radziecki, sam wycieńczony długotrwałą wojną, mógł udzielić państwom socjalistycznym dla odbudowy ich gospodarki.

■ **Znakomity fizyk radziecki, członek Akademii Nauk ZSRR, prof. Piotr Kapica udzielił wywiadu korespondentowi miesięcznika „Junost". Autorytatywna i zdrowa opinia publiczna — powiedział między innymi prof. Kapica — może wytworzyć się tylko w atmosferze żywego i aktywnego myślenia, w atmosferze poszukiwań twórczych. Nieodzownym warunkiem takiej atmosfery jest ścieranie się różnych poglądów, wymiana spornych myśli, dyskusje, dysputy. W ostatnich latach dokonaliśmy ogromnego kroku naprzód w tym kierunku. A mimo to wciąż jeszcze źle dyskutujemy, nieumiejętnie i nie dość kulturalnie... Przecież dyskusja to istota dialektyki. W walce przeciwieństw rodzi się prawda. Kiedy w jakiejś dyscyplinie naukowej nie ma przeciwieństw poglądów, nie ma walki, dyscyplina ta sama siebie skazuje na śmierć. Metoda dyskusji, polemiki odnosi się zdaniem uczonego również do sfery sztuki. „Jest rzeczą zupełnie oczywistą, że ścieranie się różnych warsztatów twórczych, stylów i credo artystycznego jest dla rozwoju sztuki równie pożyteczne jak walka poglądów dla postępu nauki... Polemika, szczera wymiana poglądów przynosi społeczeństwu pożytek".**

■ Z bilansu za rok 1966 wynika, że dostawy NRF do Rumunii wzrosły z 462 milionów marek w 1965 roku do 558 milionów marek w 1966 roku. W tym samym czasie import niemiecki zwiększył się bardzo nieznacznie z 289 mln marek do 298. W rezultacie deficyt rumuńskiego bilansu handlowego w stosunku do NRF zwiększył się do 260 mln marek.

UKOCHANY KRAJ

W magazynie turystycznym „Światowid" przeczytałem, że sprytni Jugosłowianie zamieniają w obiekty turystyczne, hotele i schroniska — więzienia i dawne twierdze, rekonstruują dla tych samych celów stare klasztory, pieczary i co się tylko da. Ten sam „Światowid" zamieszcza rubrykę czysto krajową pod nazwą — „Komu dwór, komu zamek!" Tak jest, mamy w naszym kraju na zbycie stare dwory i zamki. Dwór w Wólce Kłuckiej zbudowany przez Eustachego Kołłątaja, leży w świętokrzyskich lasach, które nie wymagają reklamy, leży na obie łopatki i niszczeje bezpańsko. Kto kupi dwór po Kołłątaju? Kto kupi zamek w Gniewie? Gotycki, pierwszorzędny materiał budowlany, duchy Krzyżaków na miejscu i dwie rzeki, w tym jedna — Wisła, można urządzać narodowe dramy, łowić ryby, tylko nie ma kupca, albo — jak to się czysto po polsku dzisiaj mówi — użytkownika.

Dziwny ukochany kraj. „Sztandar Młodych" zamieszcza w numerze niedzielnym bardzo interesujący artykuł M. Bilskiego pod wymownym tytułem — „W zdrowym ciele niezbyt zdrowy duch". Z artykułu wynika, że budujemy jednak pałace. Jeden z nich luksusowy, super-hiper-ekstra, przeznaczony dla sportowców mieści się w Zakopanem, ochrzczono go imieniem dalekim od socjalizmu — „Imperial". Otóż w tym pałacu nasi ludowi sportowcy czują się źle. Owszem — pobyt nic nie kosztuje, jeszcze pensje zapłacą, jedzenie dobre, a jednak. Pewien ogólnonarodowy sztangista został wyrzucony za pijaństwo i brzydkie rozróbki, za nim wylecieli dwaj kadrowi hokeiści i jeszcze jeden branży niewiadomej dla mnie.

Czemuż źle się czują w „Imperialu"? Z przyczyn politycznych? Nazwa ich razi? Nie, skądże. Autor artykułu wyjaśnia sprawę złego samopoczucia kadry narodowej bardzo prosto. Nie chodzi tylko o stałą pensję, nie ostatnią zresztą, za rzucanie, podnoszenie, strzelanie i co tam chcecie. Nie chodzi także o luksusowe warunki w naszej najpiękniejszej miejscowości. To za mało. Ich trzeba jeszcze rozrywać, zabawiać, organizować specjalne atrakcje, inaczej zrobią nam na złość.

Tak więc dorabiamy się z jednej strony kapryśnych rezydentów, a z drugiej niszczeją dwory i zamki. Dziwny, ukochany kraj. Kraj, rzekłbym, intelektualistów. Słowo daję, że nie przesadzam. Zajrzałem sobie ostatnio do „Przekroju", a więc tygodnika najlepiej poinformowanego o bieżących gustach Polaków. No, owszem, znalazłem mnóstwo podstawowych problemów z zakresu stosunków międzyludzkich. Dowiedziałem się, że nie wolno rozwiązywać „Krzyżówki z kociakiem", używając nie swojego egzemplarza „Przekroju", jest to typowe demokratyczne faux pas. Gospodyni wystarczy powiedzieć rano — dzień dobry — a wieczorem — dobranoc, grzebyków i kosmetyków lepiej nie pożyczać od koleżanki, a chłopiec nieśmiały wobec dziewcząt powinien zwrócić się o pomoc w zdobyciu miłości do kolegów, już oni to załatwią. A jak kupować płyty? Jak powinien dobrze na „Przekroju" wychowany Polak kupować płyty? Najpierw powinien poznać Sartre'a. „Przekrój" pisze o Sartrze: „ur. w 1905, Francja, twórca egzystencjalizmu sartrowskiego". Państwo pojmują tę naukową ścisłość? Sartre to twórca sartrowskiego egzystencjalizmu, a nie platońskiego idealizmu. W kilkunastu zdaniach pismo wyjaśnia czytelnikom istotę sartryzmu filozoficznego, która polega na wyborze, a skoro człowiek musi wybierać, wybierajcie płyty marki Muza, zgodnie z zaleceniami krakowskiego tygodnika. Dobre, co? Przed pójściem do łóżka rozdział z Szekspira. Inteligentnie, elegancko, intelektualnie.

Ukochany, dziwny kraj. W tygodniku „Film" wyjaśnia pan Stanisław Janicki piramidalne nieporozumienie, które od lat towarzyszy dyskusjom na temat słabości i oczywistych knotów w naszej sztuce nakręcania filmów. To nie jest kwestia ani scenariuszy, ani bazy, ani linii, lecz liczby 25. Po prostu produkujemy 25 filmów rocznie, no, i jedni uważają, że z tego powodu jesteśmy kinematografią małą, a drudzy akurat przeciwnie, uważają, że z tego samego powodu jesteśmy kinematografią dużą. W tej sytuacji jedni znajdują w naszym filmie grzechy kinematografii dużej, a inni małej. Tymczasem, jak uważa p. Janicki, jest to kinematografia średnia. Jeżeli to sobie uświadomimy nieporozumień nie będzie. Będzie o key, a o to przecież chodzi, nie? Trudno o lepsze lekarstwo na podniesienie poziomu naszego filmu.

Dziwny kraj, ukochany kraj optymistów. Pani Anna Lechicka takich nam udziela rad w miesięczniku „Ty i Ja": „O strzykaniu ani słowa! To fatalnie postarza. Czy słyszałaś, żeby Zofia Loren opowiadała kiedyś w wywiadzie, że ją strzyka w kościach? Zamiast zwierzeń lepiej robi aspiryna. Lepiej, żeby nikt nie wiedział, że z niejakim trudem podnosisz się z krzesła w wilgotny dzień, niż żeby rozeszła się fama: „Biedactwo, tak ją pokręciło, że ledwie się rusza". Kiedy klimat nęka, dobrze jest powspominać słoneczne dni".

Nie zwierzajmy się, bo nas ośmiesza, niech nas pokręci w samotności, inaczej nas wykpi inny obywatel ukochanego kraju, grymaśnych, rezydentów, intelektualistów i optymistów.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

ANDRZEI BRYCHT

Łodzianin w Monachium

Za tydzień święta! I mówię:

— Nie wytrzymam tu dłużej w Monachium, uciekam do kraju. Nudno, smutno, i chociaż jest komu dać w mordę, to przecież nie można...

— Tobie smutno? — dziwi się Mikołaj Klaus Dutsch, mój przyjaciel tłumacz. — To co wobec tego ma powiedzieć Jan Dubiel?

— Kto to jest, ten Dubiel.

— Polak. Łodzianin.

— Łodzianin?

— Tak. Znasz go? To przecież niemożliwe, on jest w Niemczech od dawna.

— Nie ma rzeczy niemożliwych, zwłaszcza dla łodzian. Spotykają się zawsze, w najmniej spodziewanych sytuacjach. Więc?

I Mikołaj Klaus Dutsch opowiada mi o Janie Dubielu, ale zanim opowiem tę opowieść, opowiem wprzód o Klausie Mikołaju Dutschu. I o sobie, jak się znalazłem w Monachium i jak Dutscha poznałem.

Otóż po wydaniu „Dancingu w kwaterze Hitlera" zrobił się koło tej książeczki szum, jakiego bym się nigdy nie spodziewał, bo pisałem te dwie nowele z małym komercjalnym pragnieniem wydania ich w Bibliotecz-ce Ziem Zachodnich, to takie cienkie tomiczki sprzedawane w kioskach, na dworcach, po pięć złotych sztuka ku pokrzepieniu serc i opędzeniu czasu podróży. Chwyciło, poszło w „Twórczości", były przedruki w wielu pismach, słuchowisko radiowe, przeróbka na teatr, wyszło w osobnym tomie, zniknęło z księgarń w tydzień, w marcu będzie drugie wydanie, a potem prawdopodobnie Biblioteka Powszechna... Teraz kręcą się z tego dwa filmy fabularne. Ale to frajer. Najdziwniejsze, że trafiły te nowelki na tak zwany rynek europejski. Siedem tłumaczeń, w najpoważniejszych firmach wydawniczych Francji, Włoch, Niemiec, Anglii, Jugosławii, ZSRR, Czechosłowacji. Ale Niemcy! Nigdy bym nie przypuszczał, że właśnie oni chwycą PIERWSI tę piekielnie antyniemiecką książkę! A tak się stało. Zaprosili do siebie. I oto znalazłem się w sercu Niemiec, w sercu Bawarii, w serduszku neofaszyzmu — bo tu właśnie powstało i tu doszło do głosu NPD. Nie mówiąc już o tym, że właśnie w Bawarii startował nasz dobry znajomy, Herr Adolf Hitler.

Teraz o Dutschu. Ten młody facet urodził się w Polsce, w 1958 roku skończył germanistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, wyjechał na stypendium Goethe Institut do München i został, bo był przecież Niemcem, jak jego ojciec. Ciekawe, że jego matka nadal mieszka w Polsce, choć nikt nie przeszkadza jej w wyjeździe do syna na stałe. Ona czuje się Polką. Mikołaj nie czuje się powołany do wywierania wpływu na jej poczucie narodowe. On zresztą kocha Polskę, uważa ten kraj za swoją — nie tyle drugą, co właściwą — ojczyznę. Tyle wie o Polsce! I ma taki piękny, głęboki, dobrze ustawiony głos — więc proponują mu stale pracę w rozgłośni polskiej radia Wolna Europa, zarobki niezłe itd... Ale on nie chce z tymi panami zaczynać. „Musiałbym się Polski wyrzec na zawsze" — powiada, „a kto wie, czy kiedyś nie zapragnę wrócić, bo teraz w Niemczech, jakby na przekór, czuję się bardziej Polakiem..." Więc jest rozdarty we wnętrznie, a to wcale nie jest błaha sprawa, tyle, że wśród nas, żyjących stale w Polsce, mało popularna. Więc ten Mikołaj mówi:

— Tyle mitów krąży w Polsce na temat hossy enerefu, że to życie tutejsze łatwe i dobrze opłacane, sam ulegałem tym idiotycznym legendom, ale gdyby połowę waszych przysłać tu na krótki kurs niemieckiego życia, to by uciekali z wrzaskiem do domu. Zresztą Niemcom się tu żyje dobrze, ale tylko Niemcom. I to za amerykańskie pieniądze, co też w skali ogólnonarodowej Niemcy odczuwają jako wielkie upokorzenie. Wy przynajmniej jesteście samowystarczalni, a nawet więcej, niż samowystarczalni. Różni frajerzy, nieuświadomieni dziennikarze, naiwni globtroterzy przyjeżdżają z Polski do Niemiec i poraża ich błysk neonów, warkot setek tysięcy samochodów. Spotykam się z tymi facetami, mówię im, jak jest naprawdę, zwłaszcza jeśli chodzi o życie Polaków w Bundesrepublice, ale nie wierzą, uważają mnie za nostalgicznego lewicowca, co to się pomylił z powołaniem... Chodź — powiada Dutsch — poznam cię z Janem Dubielem, on też przyjechał z Polski, też chciał zrobić karierę finansową, ten łodzianin, zobaczysz, jak mu się ta sztuka udała, może nas przewiezie swoim Mercedesem, może poczęstuje kieliszkiem koniaku przedniej marki, posiedzimy w saloniku na miękkich fotelach, opowie nam o świetnym stosunku panów Niemców do jego polskiej osoby, o tym, jak mu pomogli założyć INTERES, stanąć na nogi, czego przecież nigdy by w kraju nie osiągnął...

Siadamy w taksówkę, rzecz jasna jest to Mercedes, tylko Mercedesy chodzą tam na taksówkach, w środku telefon, można pogadać z kochanką, szkoda że obaj nie mamy nawet jednej, więc może zadzwonić do Herr Dubiela, bo może go nie ma w domu?

— Nie ma go w domu — powiada Mikuś Dutsch, spojrzawszy na zegarek — ale zaraz przyjdzie, musi przyjść zaraz, inaczej nie załatwiłby bardzo ważnej sprawy, swojej codziennej sprawy, od której zależy przecież jego samopoczucie każdego następnego dnia. Pilgersheimerstrasse, bitte — rzuca kierowcy.

Zajeżdżamy. Kurs kosztuje dziesięć marek, to znaczy dwa i pół dolara. A wszystkiego dwa kilometry. Taniocha!

Więc jesteśmy. Ponura ulica, choć niedaleko śródmieścia. Lampy gazowe, niskie, światło sine przyćmione, ale to chwyt na tradycję, bo w kloszach, zamiast koszulek gazowych — małe rurki jarzeniowe. Cywilizacja. Techniczna.

— Tu mieszka Dubiel? — pytam zaniepokojony, bo domy się ciągną w nieskończoność, wysokie, ponure koszarowe czynszówy.

— Niedaleko — powiada Dutsch. — Za rogiem. Taka willa. Jedyna w tej dzielnicy. Tyle, że nie cała jest własnością Dubiela, on ma jeszcze wspólników.

— Drobiazg — mówię, bo mi ulżyło. — Grunt, że willa.

I wyobrażam sobie wygodny fotel w eleganckim salonie, ciekawą rozmowę z rodakiem, któremu powiodło się za granicą. Koniaczek, nastrój, on ciekawy „czerwonego", bo każdego z Polski widzą tu w tym kolorze, ja też ciekawy, może pokaże mi swój garaż, wszyscy Niemcy dotąd poznani pokazywali mi swoje garaże, swoje kuchnie automatyczne i pytali z wieloznacznym uśmiechem, czy coś takiego jest w Polsce, więc i ten Dubiel chyba...

Tak sobie myślę wolniutko na tej Pilgersheimerstrasse, aż tu z bramy ciemnej głębokiej wyskakuje ogromny drab w pomiętym do cna kapeluszu i chrypliwym, zdartym od wódki głosem bełkocze coś, wyciąga brudną łapę, błysk gazowej jarzeniówki pada na jego podrapaną twarz, oczy podbite, zaschnięta krew pod nosem, biedaczyna, myślę, ktoś mu przed chwilą nieźle dołożył, tylko co on chce? A on teraz szarpie mnie nachalnie za ramię i krzyczy:

— Fünfzig pfennig! Fünfzig pfennig!
Spokojnie strącam jego rękę i mówię:

— Ich verstehe nicht. Ich bin Pole.

— Aaa... — zachrypiał ze zrozumieniem. Pochylił się, bo wyższy, popatrzył tak, jakby chciał odgryźć mi głowę, machnął ręką i wskoczył z powrotem do bramy.

Idziemy dalej. Dutsch śmieje się cicho pod nosem, mówi:

— Popatrz sobie na boki.
Patrzę. W każdej z mijanych bram po dwóch, po trzech takich samych, tyle, że niżsi i mizerniejsi. Stoją. Czekają. Niezłe pozycje wyjściowe.

Skręcamy za róg. Z dala stłumiony szum dobiega, splatany gwar wielu niemieckich głosów. Żelazne sztachety, wysokie, ostro zakończone. Za płotem kłębi się tłum ciemnych postaci.

— To tu — mówi Dutsch. — Możliwe, że Dubiel już jest.

Wchodzimy przez ciasną bramkę, w której warują paru rosłych, wypasionych wykidajłów. Jak widzą panów w niepognieciony kapeluszach, to się grzecznie kłaniają. Włazimy głębiej. Na trawnikach, teraz pozbawionych trawy siedzą ludzie w zdartych płaszczydłach, kołnierze postawione, ćmią papierosy, pod tyłki podłożyli gazety. Dużo tych ludzi. Tak na oko blisko tysiąca. Czekają. Duża grupa szturmuje drzwi domu. Willa. Dwa piętra, rozległe gmaszysko, szare jak ropucha.

— To tu — mówi Dutsch.
Patrzy na ludzi uważnie. Zobaczył.

— Panie Dubiel! — woła.
Jeden z facetów przy drzwiach obraca się niechętnie. Waha się chwilę, czy mu warto opuścić niezłe stanowisko startowe przy drzwiach, ale Dutsch się zbliżył, więc ten poznaje gościa. Z miną, jakby spotkał złotego dobroczyńcę zbiega ze schodków i serdecznie wyciąga rękę.

— Witam, witam szanownego pana! — wykrzykuje radośnie i ściska dłoń Dutscha, a za chwilę moją z nie mniejszym entuzjazmem.

— Jak poszło dzisiaj? — pyta Dutsch. — Czy Związek nadal jest nieustępliwy?

— Niestety, proszę pana. Oni nie chcą zmienić swego stanowiska. Nie ma mowy, żeby w ciągu następnych miesięcy sytuacja zmieniła się na lepsze.

— O jaki Związek chodzi? — wtrącam.

— O, pan też Polak? — dziwi się Dubiel.

— Tak. I do tego mieszkał długo w Łodzi — podpowiada Dutsch.

— W Łodzi... — zastanawia się Dubiel.

— Niedługo wracam, mogę przekazać pozdrowienia pańskiej rodzinie, jeśli pan sobie życzy...

Zatrząsł się nagle, jakby powiało mrozem.

— Nie, nie, w żadnym wypadku! Oni nie wiedzą, że ja... Że mnie tu nie bardzo... Pan rozumie.

— Rozumiem — mówię bardzo poważnym tonem, bo teraz już coś niecoś rzeczywiście rozumiem.

Fot. Andrzej Czerny

— A ten Związek — mówi Dutsch, — to Związek Żebraków. Niestety, przyjmują tylko Niemców. Dubiel stara się dostać, bo tylko na podstawie koncesji wydanej przez Związek można legalnie żebrać. Teraz on żebrze nielegalnie, naraża się na więzienie. Ale co ma robić? Przecież musi sobie zapewnić nocleg, no i pożywienie...

— Teraz na każdym kroku szykany — skarży się Dubiel — nawet tu, w noclegowni wprowadzają od dzisiaj abonamenty i jak się chce korzystać z noclegów, trzeba płacić od razu za tydzień. I właśnie jestem w takiej sytuacji...

— Rozumiem — powiada Dutsch — ile panu brakuje?

— Pięćdziesiąt fenigów.
Dutsch wyciągnął portmonetkę i dał Dubielowi dwie marki.

— Tylko niech pan zapłaci za miesiąc z góry, przynajmniej ten kłopot na jakiś czas zniknie.

— Dziękuję, bardzo dziękuję — gorączkuje się Dubiel — jak to przyjemnie spotkać czasami rodaków...

Pobiegł szybko do drzwi, przedarł się przez tłum, zniknął.

Poczekamy na niego — mówi Dutsch — weźmiemy go na kolację. Tylko bądź miły dla niego, on ma cholerne kompleksy.

I przez ten czas, gdy czekamy, obrzucani ciekawskimi spojrzeniami bidaków narodowości niemieckiej w tym bogatym Monachium, w kraju o najwyższej ponoć stopie życiowej w starej Europie, zniszczonej właśnie przez ten naród — gdy tak stoimy w swoich sztywnych kapeluszach wśród nadpływającej wciąż, puchnącej fali zeszmaconych czapek, mówi mi Dutsch:

— To jest jedna z trzech noclegowni dla bezdomnych w Monachium. Posiada osiem set miejsc. Trzy razy tyle ludzi odchodzi z kwitkiem od drzwi. Śpią w parkach, w zaułkach, policja wyczesuje ich, przegania, mogą chodzić całą noc po ulicach, ale spać im nie wolno.

— Biedacy. Skąd oni właściwie się wzięli?

— Znikąd. To są żołnierze. Zwłaszcza z frontu wschodniego.

— Tak traktuje się u was zasłużonych obywateli?

— No, żołnierzy mniej więcej wszędzie traktuje się jednakowo.

— U nas inaczej, wiesz chyba o tym.

— Tak, u nas inaczej — mówi Dutsch.

— W Polsce — wyjaśniam, bo powiedział U NAS.

— Właśnie, mam na myśli Polskę.

— Ten Dubiel uciekł z Polski parę lat temu, jest z zawodu mechanikiem, myślał, że zrobi forsę, bo mechanicy są wszędzie potrzebni, ożenił się z Niemką, ale tak się stało, że zapadł na gruźlicę i ona natychmiast się z nim rozwiodła. Nie dostał więc paszportu niemieckiego, a ponieważ przedtem musiał zrezygnować z obywatelstwa polskiego, został bezpaństwowcem. Tacy nie mają w Niemczech praw. Z łaski go wzięli do szpitala, podleczyli trochę, ale takiego gruźlika nie chcą nigdzie przyjąć do pracy. Biedaczysko tułał się po całych Niemczech, wreszcie wylądował w Monachium, no i widzisz...

— No i widzę.

Przybiegł wreszcie pan Dubiel, spocony jak mysz, bo tam w środku gorąco, ale zadowolony, macha różową kartką abonamentu, ma spanie na miesiąc. Poszliśmy na kolacyjkę skromną do pobliskiego Gasthausu, po halbce wina wypiliśmy, więcej nie, bo jednak każdy w Niemczech liczy się z marką, marka nie leży na ulicy, trzeba ciężko na markę pracować, bawić się można w Polsce. Rodziny Jana Dubiela nie pozdrawiam, bo sobie tego, ze zrozumiałych względów, nie życzył. I po godzinie rozeszliśmy się spać, każdy w swoim, które sobie wypracował, łóżku.

KONRAD FREJDLICH

Władza do objęcia

Anons tej treści nie pochodzi co prawda z rubryki ogłoszeń, ale też nie został, jak to się powiada, wyssany z palca. Niemal równobrzmiącą ofertę składa bowiem pod adresem załóg zakładów pracy ustawa o sądach społecznych z dnia 30 marca 1965 r.

A jednak, przynajmniej w odniesieniu do łódzkich fabryk, wezwanie to pozostaje praktycznie bez odpowiedzi. Mówią o tym przede wszystkim dane statystyczne. Ustawa obowiązuje już blisko dwa lata, aby jednak policzyć działające w naszym mieście zakładowe sądy społeczne, okazuje się, za dużo palców jednej ręki. Dane mówią także, że ilość rozpoznanych przez te sądy spraw nie przekroczyła magicznej jak na razie cyfry 10.

1.

Sytuacja ta może oczywiście dziwić, zwłaszcza gdy się porównuje anemiczność zakładowych sądów społecznych z prężnością społecznych komisji pojednawczych, choć obie te instytucje działają w ramach tej samej, marcowej ustawy. Komisje wtargnęły do życia miasta z operatywnością „Toto-Lotka": są właściwie wszędzie; wszędzie, gdzie są potrzebne. Liczą się na setki, a rozpoznane przez nie sprawy na tysiące. Gdyby zaufać całkowicie statystyce można by pomyśleć, że zupełnie inni jesteśmy w pracy, zupełnie inni zaś w domu i że to dopiero przytulność gniazdka rodzinnego wyzwala z nas nieposzanowanie norm współżycia społecznego. Ilość skarg pracowniczych, jaka co roku wpływa do instancji partyjnych i związkowych w skali miasta, każe nam jednak natychmiast odwołać ten pochopny wniosek. W zakładach pracy znajdziemy bowiem również wiele przykładów naruszania zasad współżycia społecznego i ładu społecznego, lekceważenia obowiązków obywatelskich, pracowniczych i rodzinnych. A przecież ustawa wspomina także o lekceważeniu przez pracowników zasad bezpieczeństwa i higieny pracy, naruszeniu mienia społecznego lub zasad jego ochrony, niedozwolonym korzystaniu przez pracowników dla celów osobistych ze środków należących do zakładu pracy itp., itp., jednym słowem wyszczególnia sytuacje o których nie tylko czytamy w powieściach. Toteż będę zobowiązany za wskazanie takiej fabryki, biura czy instytucji, gdzie ani razu nie zdarzył się choć by jeden z podobnych do wymienionych tu przykładowo wypadków.

2.

Pierwsze sądy społeczne w zakładach pracy powstały całkiem spontanicznie we Wrocławiu, a dopiero w pięć lat później wydana została ustawa, która sankcjonuje ich istnienie. Praktyka wrocławska pozwala przypuszczać, że sądy te mogą dobrze służyć sprawie zapobiegania konfliktów i tym samym przyczyniać się do kształtowania prawidłowych stosunków międzyludzkich. Jako gorący rzecznik tej sprawy wystąpiła CRZZ, która wydała szczegółowe wytyczne dotyczące zasad powoływania, organizacji i sposobów działania zakładowych sądów społecznych. CRZZ opracowała też regulamin wzorcowy, który może być odpowiednio korygowany w zależności od specyfiki zakładu pracy. Od strony organizacyjnej więc sprawa powoływania do życia zakładowych sądów społecznych przedstawia się zupełnie prosto.

A jednak sondaż WKZZ w dyrekcjach zakładów wykazał, że prawie żaden z kierowników nie odnosi się do sprawy powstawania sądów społecznych w jego instytucji z udawanym choćby entuzjazmem. Niekiedy żarliwym przeciwnikiem „nowinek" były same rady zakładowe. Podnoszono przy tym argument, że takie rozsądzanie swoich i przez swoich może tylko rozzuchwalić ludzi.

Trzeba w tym miejscu wyjaśnić, że pomimo swej nazwy sądy społeczne nie dysponują najskromniejszymi choćby sankcjami karnymi, w czym zresztą tkwi, choć się to może wydać paradoksalne, ich ogromna siła. Ustawa wyposaża je w środki wychowawcze: naganę, upomnienie, zobowiązanie do przeproszenia pokrzywdzonego i naprawienia szkody, wreszcie zobowiązanie do wpłaty na jakiś cel społeczny sumy do 300 zł. Zdemaskowanie postawy obwinionego przed najbliższym otoczeniem kolegów i współpracowników okazało się bronią tak potężną, że najczęściej można zrezygnować nawet ze stosowania środków wychowawczych. Stanięcie przed sądem jest dostateczną lekcją i przeżyciem.

3.

Cztery pierwsze odważne fabryki to: „Strzelczyk", „Dzierżyński", „Wifama" oraz ŁPIEiS. Ale nawet ci odważni nie od razu odważyli się zabrać do pracy. Sześć długich miesięcy musiało upłynąć, zanim od wyboru sądu pierwsza sprawa trafiła na wokandę. Zainteresowani tłumaczą ten stan rzeczy kłopotami natury organizacyjnej: długim zatwierdzaniem regulaminów przez WKZZ. Nie ma żadnych podstaw, aby kwestionować ten argument, choć nie ulega także wątpliwości, że sądy nie stosowały wielkiego nacisku na kompetentnego pracownika WKZZ, w którego gestii leżało szybkie załatwienie sprawy.

Na szczęście zgodnie ze starym polskim przysłowiem okazało się, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Przyznają to już wszyscy zainteresowani, a „repertoria" sądu zapełniły się pierwszymi wpisami. Nie są to zresztą jakieś pełne zawijasów stylistycznych prawnicze zakrętasy amatora-kauzyperdy. Są to złożone z dwóch — trzech zdań notatki wymieniające nazwiska zainteresowanych, rodzaj sporu i stanowisko, jakie zajął wobec sprawy sąd. Mamy przynajmniej dowód, że to nie strach przed papierkami zniechęca rady zakładowe różnych fabryk do powoływania społecznych sądów. Może więc wychodzą z założenia, że tak czy inaczej będą miały na głowie dodatkowy kłopot.

4.

Biurokracja jest sprzymierzeńcem historyków, a niekiedy także dziennikarzy. Skromność materiałów procesowych w „repertorium" i lakoniczność ich ujęcia zmusza mnie do nieustannego pytania o okoliczności rozpoznanych spraw członków sądu i przewodniczących rad zakładowych. Pan Zygmunt Kubisiak, przewodniczący RZ w Zakładach Mechanicznych im. J. Strzelczyka zaskakuje mnie już na samym początku autorytatywnym stwierdzeniem:

— Działalność sądu zahamowała wpływ do instancji związkowej wielu drobnych, ale dokuczliwych skarg, które nie zawsze byliśmy w stanie odpowiednio rozstrzygnąć. Organizacja związkowa ma przecież tyle innych spraw do załatwienia. I powiem panu, przed naszym sądem ludzie czują respekt.

Kiedyś w fabryce utarczki koleżeńskie istniały na porządku dziennym. Żarty, jak wiadomo, nawet wśród ludzi dorosłych, przyjmują niekiedy nieoczekiwany obrót. I właśnie w jedną z takich banalnych, całkiem pospolitych spraw wmieszał się sąd społeczny. W warunkach produkcyjnych, gdy obróbka skomplikowanych detali wymaga maksymalnego napięcia uwagi, przedrzeźnianie kolegi stojącego przy maszynie stwarza groźbę wypadku. I to był jeden aspekt sprawy. Było także jeszcze jej drugie dno. Obwiniony nie tylko przeszkadzał koledze w pracy: wyciągając najintymniejsze szczegóły z życia osobistego kolegi, jego sytuację rodzinną, systematycznie poniżał go moralnie doprowadzając bez mała do psychicznego załamania.

Rozprawa w wypożyczonej przez radę zakładową sali przyciągnęła sporo widzów. Obwiniony bronił się zaprzeczając wszystkiemu, ale świadkowie potwierdzili zarzuty. „Wyrok" był najbardziej surowy ze wszystkich orzeczeń wydanych przez sąd w „Strzelczyku" nagana oraz zobowiązanie obwinionego do przeproszenia kolegi w obecności całego wydziału. Zwłaszcza ten ostatni środek wychowawczy okazał się zbawienny: przykład jednego wydziału wpłynął na pozostałe. Od tej pory niebezpieczne żarty ustały.

Dwie pozostałe sprawy rozpoznane przez sąd, aczkolwiek ważne dla zainteresowanych, nie mają już tak ogólnego charakteru jak ta pierwsza. Z obowiązku kronikarskiego odnotujmy tylko, że sąd pogodził zwaśnionych małżonków oraz dwóch kolegów, którzy poczuli do siebie niechęć na tle pewnej transakcji handlowej wyraźnie krzywdzącej jednego z nich. Stosowanie środków wychowawczych okazało się niepotrzebne: przeciwnicy procesowi na rozprawie zgodnie wyciągnęli do siebie ręce.

Wszystkie trzy sprawy sąd w „Strzelczyku" rozpoznał na wniosek pokrzywdzonych.

5.

W Widzewskiej Fabryce Maszyn dwukrotnie skierowała sprawę do sądu społecznego rada zakładowa, w jednym zaś wypadku wniosek złożył zainteresowany kierownik oddziału. Jedna z tych spraw rodzajowo przypomina konflikt, jaki miał miejsce w „Strzelczyku" — obwinionemu zarzucono drwiny z kolegi i intrygowanie przeciwko niemu. Okazało się, że pokrzywdzony także nie był bez winy. W orzeczeniu swym sąd obu zainteresowanym udzielił nagany.

Sprawa druga nie kwalifikowała się na wokandę, charakter wykroczenia był zbyt poważny, pobicie i obraza — toteż sąd uchylił się od jej rozpoznania przekazując rozstrzygnięcie kompetencji dyrekcji zakładu.

Ostatnia wreszcie sprawa dotyczyła zakłóceń toku pracy w magazynie odzieżowym i ubliżania. Okoliczności sprawy skłoniły sąd do zastosowania środków wychowawczych, obwiniony otrzymał naganę i został zobowiązany do przeproszenia kolegi, któremu bezpodstawnie ubliżał.

Wszystkie rozprawy cieszyły się wzięciem u publiczności, toteż wiadomość o rozstrzygnięciach wybranego przez załogę „Wifamy" sądu z ust do ust została rozkolportowana po wszystkich oddziałach produkcyjnych zakładu.

6.

Pomimo istnienia kilku sądów społecznych w łódzkich zakładach pracy anons stanowiący tytuł artykułu nadal pozostaje aktualny.

Dlatego też tow. Kubalewski z WKZZ oświadczył dziennikarzowi:

— W naszych warunkach zakładowe sądy społeczne są ciągle jeszcze eksperymentem, choć potrzeby ich istnienia nikt dziś otwarcie nie ośmiela się kwestionować. Mamy zresztą sygnały, że w niektórych przedsiębiorstwach działają sądy „dzikie", nigdzie nie zarejestrowane, które właściwie istnieją nielegalnie. Niektórym z nich z całą pewnością będzie można nadać pełnię praw, działalność innych trzeba będzie jednak zawiesić. Jednocześnie otrzymujemy sygnały z poszczególnych związków branżowych, że rozpatrywana jest przez nie sprawa powołania do życia sądów społecznych w zakładach pracy, toteż już w najbliższym czasie eksperyment nasz poważnie się rozszerzy.

Tymczasem jednak nawet już istniejące i działające sądy nie wykorzystują w pełni swoich praw. Tak na przykład dziennikarz ani razu nie spotkał sprawy rozpoznanej przez sąd z własnej inicjatywy. Zapobieganie konfliktom może mieć sens tylko wtedy, jeśli antagonizm zostanie uchwycony i spostrzeżony w zarodku, w przeciwnym razie wobec ciężaru gatunkowego sprawy sąd będzie miał okazję stwierdzić tylko swoją niekompetencję. Czymś wyjątkowym także jest występowanie przez sądy do dyrekcji zakładów z wnioskami o usprawnienia organizacyjne, jeśli źródłem konfliktów jest zła organizacja pracy. (Czy nie to właśnie uprawnienie ochłodziło entuzjazm niektórych dyrektorów fabryk do samej idei zakładowych sądów społecznych?).

Sprawa jest zresztą bardziej złożona, bowiem warunkiem prawidłowej działalności sądów w zakładach pracy jest właściwe zrozumienie ich idei nie tylko przez dyrekcję, ale przede wszystkim przez radę zakładową i organizację partyjną. Bez ich współdziałania sądy te nie będą mogły dobrze pracować, tam gdzie już istnieją, ani powstać tam, gdzie celowość ich istnienia jest dopiero rozważana.

Dlatego jeszcze raz ogłaszam: Władza do objęcia od zaraz. Wiadomość: Dziennik Ustaw z dn. 6 kwietnia 1965 r. Nr 13 poz. 92.

PISARZ NA WOJNIE

1.

Gościł w Polsce przed paru laty i był w Łodzi i tu poznaliśmy go osobiście: w tym wysokim, przygarbionym starcu o twarzy patriarchy widzieliśmy wówczas uosobienie amerykańskiej literatury — literatury wielkich problemów moralnych naszych czasów, zaciekle protestującej przeciw złu. Twórczość jego pozostawała zwykle w cieniu twórczości Faulknera i Hemingwaya, ale mimo to John Steinbeck był dla nas autorem „Gron gniewu", książki, którą uznano kiedyś za synonim protestu społecznego. Ta książka — tak odważna — i inne, które przyszły później, zobowiązywały do szacunku.

2.

Jaka jest rola pisarza na wojnie?

John Steinbeck nie był nigdy żołnierzem: bywał natomiast korespondentem wojennym. W dwadzieścia lat po napisaniu ostatniego swego reportażu z areny działań wojennych, w przedmowie do książkowego wydania tych szkiców (pt. „Była raz wojna") — sam stwierdził:

„Uczestniczyłem w epizodach wojny. Można powiedzieć — odwiedzałem ją w kostiumie korespondenta wojennego. Lecz oczywiście — nigdy nie walczyłem. Ciekawe, że dziś już niewiele z niej pamiętam."

3.

Ernestowi Hemingwayowi nigdy nie udało się zostać t y l k o korespondentem wojennym. W pierwszej wojnie nie walczył, lecz jako ochotnik — kierowca ambulansu, wywoził rannych z pola bitwy. Był ciężko ranny, odwaga jego stała się legendarna. W oblężonym Madrycie zjawił się, że użyjemy określenia Steinbecka — w kostiumie korespondenta wojennego. Nie umiał się jednak nie angażować: był to więc czas pełnej pasji walki o pomoc dla republiki. W drugiej wojnie światowej wszędzie gdzie się zjawił — czy było to Morze Karaibskie, na którym w swym jachcie śledził niemieckie łodzie podwodne, czy głośne i heroiczne wyczyny na iluż odcinkach drugiego frontu — wszędzie walczył czynnie, chwytał za broń: gen. Pattonu groził mu nawet za to sądem wojennym.

Hemingway bowiem żył w zgodzie z tym co pisał. A pisał przecież że „wielką korzyścią dla pisarza jest doświadczenie wojenne. To jeden z ważniejszych tematów i na pewno jeden z najtrudniejszych do rzetelnego opisania... a rewolucja jest może najlepsza (jeśli ktoś nie popada w bigoterię) bo wszyscy mówią wtedy tym samym językiem. Podobnie jak wojna domowa jest najlepszą wojną dla pisarza i najpełniejszą... Pisarzy bowiem wykuwa niesprawiedliwość, tak jak wykuwa się miecz." *(Zielone Wzgórza Afryki).*

Ernest Hemingway znał dobrze Hiszpanię: podziwiał Hiszpanów, kochał mowę tego kraju, jego obyczaj. Kto wie czy Hiszpania nie była największą miłością w życiu Ernesta Hemingwaya.

Z miłości tej zrodziła się książka okrutnie, bezlitośnie prawdziwa. Na stronicach „Komu bije dzwon" Hemingway ukazał przerażające oblicze wojny domowej i dni rewolucyjnego bezprawia. Nie cofnął się przed odmalowaniem okrucieństw obu stron walczących. Książka powstała w zgodzie z dewizą, iż pisać należy prawdę, prawdę i tylko prawdę.

I literatura odniosła świetne zwycięstwo: powieść miała jednoznaczną wymowę i Hemingway mógł stwierdzić: „Zawsze byłem po stronie Republiki, od dnia jej proklamowania i na długo przed tem".

A przecież Hemingway musiał dokonać niełatwego wyboru: jego przyjaciele z lat przedrewolucyjnych — ludzie areny, ukochani toreadorzy, bogaci hodowcy, kumple z Madrytu — w większości opowiedzieli się po stronie Franco. Pozornie po tamtej stronie były i tradycje hiszpańskiego hidalgo, tak fascynujące tego pisarza. Wybór był trudny: mimo to Hemingway dostrzegł prawdę „Większość ludu Hiszpanii chce socjalizmu i walczy o republikę".

4.

John Steinbeck — w swej późnej starości — ruszył na odkrycie Wietnamu. Nie znał tego kraju, nigdy się nim nie interesował, nic go z nim nie łączyło. Gdy już tam przybył witany przez generałów i syna — oficerka, uczynił coś, co zdumiało cały świat. Chwycił za pióro i zaczął od nowa karierę korespondenta wojennego. Oświadczył:

„Nie byłoby to fair z mojej strony, pozwalać nadal nieść cały ciężar też wojny prezydentowi i kongresowi".

A więc jest Steinbeck w Sajgonie i pije herbatę — „z czarującym i dzielnym generałem Ky". *A potem lata helikopterem nad martwym, wypalonym krajem:* „ręce naszych pilotów przypominają mi pewne i z pozoru tylko powolne dłonie Casalsa grającego na wiolonczeli." *Pistolet maszynowy staje się naraz dla Steinbecka —* „oblubienicą każdego żołnierza" — i on (który w czasie tamtej wojny nigdy nie strzelał) *cieszy się jak dziecko, gdy pozwalają mu strzelać do partyzantów. Zresztą w swych reportażach unika tego słowa. Zastępuje je innym:* „Vietcong — ci skurwysyni". *Pisze:* „Zabić ich, zamordować, wypalić."

Co się stało z tym starym pisarzem, którego cały świat tak szanował? Na zachodzie Europy najbardziej mu życzliwi przebąkują o „zawstydzeniu, o jakie przyprawia Steinbeck swych wielbicieli" o „żałosnej pomyłce starzejącego się pisarza". *Czy jednak takie sformułowania cokolwiek tłumaczą?*

A może raczej zacytujmy samego Steinbecka? W roku 1960 on sam postawił diagnozę tej choroby. Pisał wówczas: „Od wielu lat jesteśmy opętani strachem, tylko strachem, a strach nie rodzi nic dobrego. Jego płodem jest okrucieństwo, kłamstwo i podejrzliwość, które się plenią w naszych ciemnościach. I tak nieuchronnie, jak zatruwamy powietrze naszymi próbnymi eksplozjami, tak i trujemy nasze dusze strachem, bezpostaciowym, głupim, oszalałym strachem, zżerającym jak złośliwy nowotwór".

5.

Jaka jest rola pisarza na wojnie?

Ernest Hemingway zauważył kiedyś: „Bywają zawodowi pisarze, którzy pisząc o wojnie, nic z niej nie rozumieją... Nie wiem pod jaką kategorię grzechu to podpada".

WACŁAW BILIŃSKI

WŁODZIMIERZ WITKOWSKI

Spółdzielnia dziesięciu MILIONÓW

Rok bieżący — Międzynarodowy Rok Turystyki stanowi doskonałą okazję do refleksji na temat turystyki, do podsumowania naszych osiągnięć w tej mierze i to nie tylko na wielkim, międzynarodowym forum, ale przede wszystkim na najbliższym terenie.

Na terenie Łodzi działa szereg biur turystycznych z PTT-K na czele, które, podobnie jak w innych miastach wojewódzkich, mają swoje centrale w stolicy, a działają nie tylko w Łodzi, ale i w województwie. PTT-K (o innym zresztą profilu niż pozostałe biura) i „Orbis" mają wieloletnie tradycje, a co się z tym wiąże — doświadczenie, pozostałe, jak „Turysta", „Camping", „Sports-Tourist" czy „Gromada" mają tych doświadczeń mniej i „wiek" ich nie przekracza w zasadzie dziesięciu lat.

Chciałbym się zająć działalnością „Gromady", a to ze względu na środowisko, w którym działa, szeroki zasięg czyli masowość prowadzonych przez nią akcji i wreszcie fakt nie bez znaczenia, że w ciągu zaledwie dziesięciu lat swego istnienia potrafiła stać się instytucją popularną w kraju na równi niemal z leciwym „Orbisem" i dystansującą wiele innych biur, zarówno pod względem ilości (i to przede wszystkim), jak i jakości świadczonych usług.

Jako się rzekło, „Gromada" (a pełna jej nazwa brzmi: Spółdzielnia Turystyczno-Wypoczynkowa „Gromada") liczy sobie dziesięć lat. W tym miejscu gwoli ścisłości trzeba dodać, że zalążki, jakże nieśmiałe i amatorskie, przyszłej Spółdzielni pojawiają się na dwa lata przed drugą wojną światową z inicjatywy działaczy ludowych z Kazimierzem Wyszomirskim na czele, założycielem dzisiejszej „Gromady", który działał na naszych terenach, tj. w Łowickiem. Jednak próżno szukać jej śladów w dokumentach mogących stanowić, nie napisaną niestety jeszcze, historię polskiego krajoznawstwa i turystyki.

Zaczęli bez grosza, bez dotacji, bez pożyczek — w oparciu o członków... a „członkami Spółdzielni mogą być tylko osoby prawne: Spółdzielnie oraz organizacje społeczne, gospodarcze, oświatowe, kulturalne, młodzieżowe, zawodowe i sportowe"... — jak głosi statut. Członkowie, jak na „osoby prawne", wnoszą wkłady niewielkie 1.500 do 2.000 zł, które już na pierwszej wycieczce zwracają się z nadwyżką. Wkłady członkowskie dają prawo do korzystania w pierwszej kolejności z usług Spółdzielni, a wieś chce mieć **własną** spółdzielnie — instytucję turystyczną i właśnie to środowisko zadecydowało o żywiołowym rozwoju „Gromady", rozwoju jakże typowym dla całej naszej powojennej turystyki.

Zaczęli bez kwalifikowanych kadr, z ludźmi, którzy rozwijali się razem ze Spółdzielnią, bez odpowiednich lokali, często urzędując **dosłownie** w korytarzach lub na klatkach schodowych, bez środków transportu i odpowiedniej bazy. Autokary wypożyczano, bazy noclegowe i wyżywienia dzierżawiono. Był entuzjazm — brakło doświadczenia. Było więc źle, potem coraz lepiej... A dziś?

Dziś STW „Gromada" posiada swe **oddziały w każdym województwie plus trzydzieści jeden ekspozytur powiatowych plus ileś tam setek przedstawicieli w terenie**, tu boję się podać konkretnej cyfry, bo z każdym dniem niemal zarówno ilość przedstawicieli, jak i ekspozytur wzrasta i to, co wyżej podałem, za tydzień może już być nieaktualne.

Kiedy przed dwoma laty zmarł tragicznie pierwszy prezes i założyciel „Gromady" wspominany już Kazimierz Wyszomirski — pozostawił wielki kombinat turystyczny, jeszcze niedoskonały, ale już opanowany, działający nie na zasadach początkowej żywiołowości, ale na planowej organizacji.

„Gromada" stała się spółdzielnią **dziesięciu milionów** osób, stanowiących 5 **tysięcy członków** — osób prawnych — do tego dochodzi cała masa klientów obsługiwanych poza członkami.

* * *

Na tle działalności „Gromady" jako całości, oddział łódzki Spółdzielni zajmuje w kraju czołowe miejsce. Istnieje już osiem lat, bowiem nie wszystkie oddziały powstały równocześnie. W ciągu tego czasu utrzymuje się zawsze w pierwszej trójce wewnątrz gromadzkiego współzawodnictwa. To o czymś świadczy, zważywszy, że Łódź i województwo nie posiadają tych walorów turystycznych co Krakowskie, Gdańskie, Wrocławskie czy Szczecińskie!

Siedzę w przyjemnym, nowoczesnym gabinecie w biurze „Gromady" przy ul. Piotrkowskiej. Dyrektor Jan Skrzypiński niemal od pierwszych dni prowadzi łódzki oddział Spółdzielni. Wędrował z nim po Łodzi przez pięć lat, zmieniając „lokale": od klatki schodowej przy ul. Narutowicza wypożyczonej przez Zarząd Kółek Rolniczych, przez wydzierżawiony sklep na Sienkiewicza, sklep przy Piotrkowskiej róg Zamenhofa, do obecnego lokalu przy tejże ulicy nr 27.

Poza dyrektorem na własnych błędach turystyki uczył się obecny jego zastępca Adolf Kaczmarczyk, poznawali turystyczne szlaki najstarsi kierowcy Władysław Królikiewicz i popularny „Koziołek" czyli Kazimierz Odrzywolski, męcząc się po nieznanych im wówczas drogach i na maszynach nie zawsze zasługujących na miano autokarów. Wymienieni i pozostali rozpoczynali swój turystyczny staż od początku bez wzorów, bez teoretycznego bodaj przygotowania. Tym większa ich zasługa, że po latach praktycznych doświadczeń, częściej przykrych niż miłych, stanowią dziś kadrę kwalifikowaną, uzupełniającą swe teoretyczne braki na kursach i studiach. Np. trzech pracowników kończy w tym roku zaoczne Studium Organizacji i Ekonomiki Turystyki we Wrocławiu. Tym większą zasługą zespołu jest wyróżnienie jednego z nich, Stanisława Iskry, jako najlepszego informatora w Polsce **pośród wszystkich biur podróży** roku 1966 — o czym zresztą donosiły dzienniki. Tym większą wreszcie jest zasługą zespołu, że potrafił zdystansować doświadczony blisko pięćdziesięcioletnią tradycją i zasłużony zresztą „Orbis", nie mówiąc o innych biurach turystycznych, co ilustrują następujące cyfry: (dysponuję tylko danymi do roku 1965, ale w roku ubiegłym przewaga ta wzrosła jeszcze wg szacunkowych danych).

Wycieczki z Łodzi: (w tysiącach osób)

	lata		
	1963	1964	1965
„Orbis"	39,2	42,5	43,4
„Gromada"	**45,0**	**58,0**	**87,0**
„Turysta"	25,0	34,0	38,0
PTT-K	16,9	23,8	35,9

Wycieczki po Łodzi (w tysiącach osób)

	lata		
	1963	1964	1965
„Orbis"	0,5	1,9	2,2
„Gromada"	**18,3**	**25,2**	**45,6**
„Turysta"	1,0	2,5	5,0
PTT-K	6,1	7,4	1,7

Cyfry podane za oficjalną oceną działalności biur, przeprowadzoną przez ŁKKFiT, wyraźnie wskazują na hegemonię „Gromady" w turystyce wycieczkowej, co może przyprawić jej pracowników i klientów o pewną dumę, ale — cyfry te także **zobowiązują do ciągłego podnoszenia jakości świadczonych usług.**

„Celem Spółdzielni jest działalność turystyczna i wypoczynkowa..." a dalej „pogłębienie umiłowania kraju ojczystego i piękna naszej ojczyzny" — czytam w cytowanym już statucie.

Cele wzniosłe, ale dziś, kiedy turystyka wyszła już z powijaków, można je realizować tylko przy zapewnieniu maksimum wygody i sprawności organizacyjnej. Tę ostatnią „gromadziarze" bez wątpienia posiadają ale... Ale, proszę mi wybaczyć ten pesymizm, który wkradł się w optymistyczny charakter całości artykułu, trudno będzie realizować owe postulaty na rozlatujących się autokarach lub nowych, ale przecież jakże prymitywnych jak na miano „autokarów" „Sanach"...

W tym miejscu zaczynam się obawiać czy przypadkiem osiągnięcia „Gromady" ilościowe nie odbywają się troszeczkę kosztem hm... wygody klienta i... jego bezpieczeństwa. No bo „Orbis" czy „Turysta" choć legitymują się mniejszymi wskaźnikami jeżdżą lepszymi wozami („Orbis" wyłącznie „Jelczami"), a tabor „Gromady" ogranicza się do 2 „Jelczy" dawno już przekraczających wiek emerytalny, po iluś remontach i ciągle w opłakanym stanie. Cztery „Sany" też już nie najnowsze, wskazują na „sanomanię", a przecież nawet laik wie, że te sympatyczne z wyglądu „wózki" absolutnie nie nadają się do wieloetapowych wojaży turystycznych. Nikt, absolutnie nikt, nie przekona mnie też, że czynniki ekonomiczne (tańszy osobokilometr itd.) mogą decydować, gdy w grę wchodzi **wygoda** klienta!

Chcę wierzyć, że w Międzynarodowym Roku Turystyki i nasza turystyka autokarowa zechce stanąć na wysokości zadania postawiwszy przed sobą hasło: **nie tylko dużo ale wygodnie, bezpiecznie, szybko, estetycznie**, nawet gdyby realizacja tego zadania miała się odbyć kosztem zmniejszenia rentowności. Widzę już oczyma wyobraźni nowe, wygodne, ślicznie i gustownie malowane „Jelcze-Luxy" z napisem „Gromada"... tylko, żeby to nie miało miejsca na następne dziesięciolecie!

Nastrój optymistyczny psują jeszcze **wczasy**. Te same, które jako novum przed kilkoma laty podbiły serca spragnionych ciszy wiejskiej mieszczan: mowa o „wczasach pod gruszą". Początek był bardzo dobry, ale w miarę rozwoju tej formy, w miarę jej popularyzacji jakość zaczęła kuleć. Sporo reklamacji, sporo narzekań, a wiadomo „złe bardziej w pamięci pozostaje, niż dobre". Reklamacje dotyczą wyżywienia i kwater, czyli tego co najważniejsze.

W tym miejscu należy się dla nie wtajemniczonych wyjaśnienie, że wczasy np. w woj. gdańskim organizuje tamtejszy oddział, w Zakopanem ekspozytura miejscowa itd. ale wydaje się, że **odpowiedzialność ponosi „Gromada" jako całość** i chyba każdy pracownik rozprowadzający wczasy **powinien** osobiście poznać warunki w danym terenie, do piero wówczas jego informacja i rada: gdzie się wybrać, będzie poparta rzetelną znajomością ośrodków wczasowych. A jeżeli zdarzy się, jak mi opowiadała Alicja Kulibabka, zajmująca się właśnie wczasami, że pokazano jej w Koszalińskiem inne zgoła kwatery niż te, w których zakwaterowano łodzian? **W takim wypadku należy wyciągać jak najostrzejsze konsekwencje do zwrotu kosztów klientom włącznie.**

No tak to byłoby wszystko, co zaciemnia blaski pracy „Gromady"... Może jeszcze wyszperałoby się coś z niedociągnięć, ale nie o to chodzi.

STW „Gromada" zasłużyła przez dziesięć lat w Polsce i osiem w Łodzi, na pełną piątkę. Jest ona najbardziej typowym przykładem dynamicznego rozwoju ruchu turystycznego **masowego.** Tym większa zasługa, że działalność Spółdzielni skierowana jest głównie na wieś — tam gdzie słowo turystyka było do niedawna wyrazem obcym, a wyjazd łączył się z pojęciem konieczności załatwienia sprawy w powiecie czy województwie.

Jeszcze przed dwoma laty — opowiada jeden z pilotów — na wycieczce „Gromady" organizowanej dla chłopów z okolic Parzęczewa, odległego 6 km od Ozorkowa, znalazł się człowiek leciwy już, który po raz pierwszy w Krakowie jechał... tramwajem. To jeden z licznych przykładów wzruszających w swej wymowie... A pierwsze zetknięcie się ludzi z zabytkami historycznymi, z pięknem gór, morza czy jezior, pierwsze wrażenia z wielkich, przemysłowych miast...

W rok 1967 wchodzi „Gromada" z dużymi osiągnięciami, z bagażem doświadczeń. Ubiegły rok to ponad

100 tysięcy uczestników rozmaitych wycieczek krajowych. W tej liczbie **43.774 osoby przewiezione do teatrów łódzkich** z województwa w akcji **„spod chaty do teatru"**, w której „Gromada" współpracuje z „Orbisem", to wczasy dla 4.203 osób i obsłużenie 1.047 turystów wyjeżdżających indywidualnie za granicę.

Plany na bieżący rok?

150 tys. wycieczkowiczów na 2 tysiącach imprez, opracowanie informatora o Łodzi i województwie, otworzenie dwóch nowych ekspozytur (obok istniejących już w Łowiczu i Radomsku): w Wieluniu i Rawie Mazowieckiej i 14-dniowe wczasy w mieście dla dzieci wiejskich, w czasie których obok wypoczynku i zabaw, poznają one Łódź, jej przemysł i kulturę. Te ostatnie, latem ubiegłego roku, zdały egzamin, choć jako dziesięciodniowy eksperyment objęły tylko 65 dzieci.

Poza tym — wycieczki do teatru, oczywiście przede wszystkim Teatru Wielkiego. Na każdy spektakl do 22 lipca włącznie „Gromada" ma już swoją pulę 200 biletów.

Wreszcie najbliższa ogólnopolska impreza w Łodzi, w marcu na Dzień Kobiet wielki zlot: zwiedzanie miasta, imprezy i inne atrakcje, a w listopadzie zlot spółdzielczości wiejskiej w Poroninie.

Za tymi planami kryją się cyfry: **w ubiegłym roku 14 mln zł obrotu, w bieżącym — 24 miliony.** Oby tylko ze wzrostem owych dziesięciu milionów zł wzrosła też, o jakichś tam dziesięć jednostek, jakość świadczonych usług, a tym samym wkład łódzkiej „Gromady" w Międzynarodowy Rok Turystyki był rzetelny. Tego należy życzyć „gromadziarzom" i ich klientom.

Miasto rewolucyjnych tradycji

Moskiewska „Prawda" zamieściła obszerny materiał dotyczący historii Łodzi, jej dnia dzisiejszego i przyszłości. Poniżej drukujemy artykuł J. Makarenki z niewielkimi skrótami.

Ulice Łodzi są zawsze pełne ruchu. Większość przedsiębiorstw pracuje na trzy zmiany i dlatego życie nie zamiera tu nawet w nocy. Miasto jest jedną z najbardziej ożywionych i dynamicznych miejscowości Polski. Niegdyś zamieszkiwali tu przeważnie włókniarze. Dlatego też dawniej nazywano to miasto polskim Iwanowem lub Manchesterem. W latach władzy ludowej powstały tu liczne zakłady przemysłu maszynowego, które znacznie zmieniły charakter miasta.

W historii ruchu rewolucyjnego Polski Łódź zajmuje szczególne miejsce. Jest miastem wielkich rewolucyjnych tradycji, zaciętych walk klasowych, wielkich przejawów internacjonalizmu.

Oceniając strajk łódzki z czerwca 1905 roku, Lenin pisał, że łódzki proletariat pokazał nie tylko nowy wzór rewolucyjnego entuzjazmu i bohaterstwa, ale także wyższe formy walki. Lenin zawsze interesował się Łodzią. Stary komunista, tkacz Stanisław Michalski, wspomina rozmowę z Leninem, która odbyła się wiosną 1907 r. w czasie V Londyńskiego Zjazdu RSDRP. W liczbie czterdziestu czterech uczestników, Michalski był delegatem z ramienia SDKPiL.

— Lenin — opowiada Michalski — żywo interesował się losem łódzkiej klasy robotniczej. Wypytywał ile godzin trwa dzień pracy w przedsiębiorstwach, ile zarabia tkacz, tkaczka, ile wynoszą grzywny...

Wielki Październik rozjaśnił Łódź niby niegasnąca gwiazda. Pod jego bezpośrednim wpływem, powstał w mieście Rewolucyjny Komitet Rady Robotników. Komitet postanowił natychmiast wprowadzić w zakładach i fabrykach ośmiogodzinny dzień pracy, a w przedsiębiorstwach o produkcji szkodliwej dla zdrowia — sześciogodzinny. Wybrano tymczasowy Komitet Wykonawczy. Rada poparła protest Warszawskiej Rady Delegatów Robotniczych wystosowany w związku z aresztowaniem przez rząd burżuazyjny szeregu członków SDKPiL, domagając się natychmiastowego ich zwolnienia.

Wierni idei Rewolucji Październikowej, robotnicy Łodzi nie zaprzestali walki i wtedy, gdy pod naciskiem burżuazji upadła Rada Robotników. Łódź wrzała, kotłowała i niby wulkan przez długie lata nie pozwalała spokojnie spać wrogom rewolucji. Jesienią 1928 r. w mieście wybuchł strajk o niespotykanych dotychczas rozmiarach. Na wezwanie KPP, na znak solidarności ze strajkującymi włókniarzami porzucili pracę wszyscy łódzcy robotnicy. Strajk przekształcił się w strajk powszechny.

Żądania ekonomiczne robotników zbiegły się z żądaniami politycznymi.

Bohaterska walka łódzkiej klasy robotniczej znalazła poparcie proletariatu w wielu krajach, a szczególnie w ZSRR. Radzieckie Związki Zawodowe, w tej liczbie włókniarze z Iwanowa, pierwsi odpowiedzieli na wezwanie o pomoc strajkującym. Na znak solidarności przekazali oni łódzkim robotnikom półtora miliona złotych.

W latach niemieckiej okupacji, w Łodzi zrodziła się i ani na chwilę nie ustawała aktywna działalność komunistycznego podziemia. Tu też powstały pierwsze komórki PPR.

— Obecnie łódzka klasa robotnicza — mówi I sekretarz KŁ PZPR Józef Spychalski — pomyślnie wciela pod kierownictwem partii rewolucyjny entuzjazm i bohaterstwo w walce o budowę socjalizmu w Polsce, które tak wysoko cenił Lenin. Klasa ta żyje i pracuje po leninowsku!...

Nie było i nie ma w Polsce ani jednego przedsięwzięcia o znaczeniu ogólnonarodowym, które ominęłoby Łódź. Tu zrodziło się socjalistyczne współzawodnictwo brygad o wyższy wskaźnik jakościowy w przemyśle włókienniczym. Inicjatorem była prządka Wanda Gościmińska — obecnie dyrektor Zakładów Włókienniczych im. generała Waltera. Również w Łodzi powstało współzawodnictwo o oszczędność surowca. Łódź stała się także kolebką walki o lepszą jakość produkcji. W zakładach przemysłowych trwa batalia o miano oddziałów, brygad i fabryk pracy socjalistycznej. Brygad, które otrzymały to miano jest obecnie ponad tysiąc.

W dyrekcji Zakładów Przemysłu Wełnianego im. Gwardii Ludowej, informują, że w wyniku współzawodnictwa wydajność pracy wzrosła o 10 proc. W innych zakładach wskaźniki te nie są mniejsze, a często nawet znacznie wyższe. Szeroki rozmach otrzymało współzawodnictwo o produkcję jak największej ilości wyrobów posiadających wysoki, ogólnoświatowy poziom. Na całą Łódź zasłynął zespół fabryki skarpet „Feniks", na czele którego stoi młoda robotnica Werisława Sedszczecka. Zespół ten w krótkim czasie podniósł wydajność pracy o 7 proc., zdobywając miano „Brygady Pracy Socjalistycznej". Cała piątka robotników tego zespołu uczęszcza na kursy mistrzowskie. W Zakładach Bawełnianych im. Harnama, zasłużoną sławą cieszy się zespół Tadeusza Witkowskiego.

W czasach Polski sanacyjnej, Łódź była jednym z najbardziej zaniedbanych miast. Większość miasta nie miała nawet kanalizacji i wody.

Obecnie w licznych dzielnicach Łodzi wyrosły przytulne bloki. Buduje się nowe domy także i w centrum. Wąskie uliczki są poszerzane, zamieniają się w wygodne magistrale. Miasto otrzymało silnie rozgałęzioną sieć wodociągową. Duma miasta — to jedna z największych elektrociepłowni. Na prośbę robotników nadano jej imię Lenina. Nie tak dawno Łódź wzbogaciła się teatrem, drugim co do wielkości w kraju.

Wszystko to jednak dopiero początek. Opracowano pierwszy etap planu przebudowy Łodzi, która zamieszkuje obecnie 750 tys. mieszkańców. Plan obejmuje okres do 1970 roku. Plan drugiego etapu przebudowy sięgający do roku 1980 jest w trakcie rozpracowywania. Znaczna część zakładów przemysłowych zostanie zlokalizowana poza granicami miasta.

Łódź pomyślnie rozwija przyjacielskie stosunki z wieloma miastami krajów socjalistycznych, a w tej liczbie z miastami Związku Radzieckiego. Łódzkich włókniarzy wiążą ciasne więzy tradycyjnej przyjaźni z włókniarzami z Iwanowa. Krzepną z każdym dniem przyjacielskie związki z robotnikami Smoleńska.

Pięćdziesięciolecie Wielkiej Rewolucji Październikowej robotnicza Łódź spotyka niby swoje wielkie święto. W mieście są przeprowadzane wykłady i odczyty poświęcone Październikowi, przygotowuje się wystawy, organizuje się spotkania z weteranami polskiego ruchu robotniczego.

Robotnicza Łódź rośnie i pięknieje. Praca, twórcza praca — oto bojowa dewiza łódzkiej klasy robotniczej.

E. I.

ALOJZY ST. MATYNIAK

O Łużycach i Łużyczanach

„Mowo łużycka, musisz kwitnąć!"
Michał Nawka (1965)

Łużyczanie są jednym z czterech — obok Polaków, Czechów i Słowaków — narodów zachodniosłowiańskich. Najbliżsi nam pokrewieństwem, językiem i kulturą stanowią jedyną pozostałość dawnych Serbów Zachodnich i całej wytępionej Słowiańszczyzny Połabskiej.

Przed wiekami zamieszkiwali oni znaczne obszary na zachód od Odry, Bobru i Kwisy aż poza Łabę i Salę, dzisiaj zaś niewielkie już tereny w południowo-wschodniej części NRD, po obu brzegach dolnej i środkowej Sprewy, od słynnych Błot (Spreewald) na północy po Góry Łużyckie na południu, a więc w pobliżu granicy z Polską i Czechosłowacją. Obszar łużycki dzieli się na dwie części: Górne Łużyce (czyli dawne Milsko) ze stolicą w Budziszynie i Dolne Łużyce (czyli dawne właściwe Łużyce) ze stolicą w Chociebużu.

Nazwa: Łużyce pochodzi od rdzenia „ług", co oznacza łęg, mokradło, bagnistą równinę, wilgotną łąkę, zarośla lub podmokły lasek oraz zgadza się z topografią kraju łużyckiego, zwłaszcza Dolnych Łużyc. Samych siebie słowiańscy mieszkańcy Łużyc nazywają Serbami lub Serbami Łużyckimi, w odróżnieniu od Serbów bałkańskich, z którymi poza nazwą i przynależnością do świata słowiańskiego nie mają nic wspólnego. Z tych właśnie względów przyjęto w Polsce używać nazwy: Łużyczanie, a także Serbowie Łużyccy (rzadziej: Serbołużyczanie).

Ludność łużycka jest zróżnicowana pod względem etnicznym, językowym i wyznaniowym. Dokładna liczba Łużyczan jest trudna do ustalenia. Dawne niemieckie spisy urzędowe, przeprowadzane w atmosferze terroru, tendencyjnie pomniejszały faktyczną liczbę ludności słowiańskiej Łużyc. Obecnie przyjmuje się, że jest około stu tysięcy Łużyczan, mówiących po łużycku, z tym, że dalszych kilkaset tysięcy posiada świadomość swego słowiańskiego pochodzenia. Popieranie rozwoju kulturalnego Łużyczan i tępienie wszelkich przejawów starego szowinizmu niemieckiego przez władze NRD wpłynęło hamująco na postępy germanizacji i jeszcze groźniejszej asymilacji, spotęgowanej w ostatnim dwudziestoleciu przez osadzenie na etnicznie słowiańskim terenie Łużyc znacznej ilości Niemców wysiedlonych z Polski, Czechosłowacji i Europy wschodniej.

Większość Łużyczan (mniej więcej 4/5 ogółu ludności) to ewangelicy, mieszkający głównie na północy. Katolicy (1/5 ogółu ludności) skupieni wokół stolicy Łużyc — Budziszyna, wykazali najwyższy stopień uświadomienia narodowego i najsilniej oparli się wynarodowieniu. Ilustracją skomplikowanej sytuacji wyznaniowej Łużyczan jest przyciągająca turystów katedra w Budziszynie, wspólna dla obu wyznań.

Kilkunastowiekowy okres dziejów Łużyc znamionują zacięte walki z niemieckim „Drang nach Osten". Podbój Łużyczan zapoczątkowany przez margrabiego Geróna w 963 roku, zmusił pierwszych Piastów do kontrakcji, której wynikiem był pokój budziszyński (1018) oraz trzydziestoletni okres rządów polskich na Łużycach (1002—1032), opromieniony łużycką pieśnią ludową o Bolesławie Chrobrym.

Rozwój kultury łużyckiej hamowały Niemcy, dążąc do ujednolicenia oblicza demograficznego Rzeszy i stłumienia żywiołu słowiańskiego na południe od Berlina oraz wzmagając germanizację poprzez szkołę, kościół, wojsko, administrację i politykę gospodarczą. Słowiańskość Łużyczan postanowił zniszczyć całkowicie hitleryzm, określając ich jako „wendisch sprechende Deutschen"; akcją tą kierował osławiony Teodor Oberlaender, pełnomocnik Hitlera do spraw likwidacji narodu łużyckiego. Łużyczanie przetrwali jednak okres największego terroru i doczekali się wiosną roku 1945 wyzwolenia.

Naród łużycki otrzymał w Niemieckiej Republice Demokratycznej częściową autonomię kulturalną i równouprawnienie z narodem niemieckim. Władze NRD zagwarantowały Łużyczanom prawo do rozwoju ich języków i kultury. Łużyczanie pod przewodnictwem swej naczelnej organizacji, Związku Serbów Łużyckich „Domowina" stali się współgospodarzami swego kraju.

Istnieje łużyckie szkolnictwo wszystkich stopni, łużyckie instytucje naukowe, dom narodowy z muzeum piśmiennictwa łużyckiego, prasa w obu językach łużyckich (jeden dziennik i siedem czasopism), radio (z dwugodzinnym programem coniedzielnym), teatr (ostatnio połączony z teatrem niemieckim) i wydawnictwo. Państwowy Zespół Łużyckiej Kultury Ludowej (200 osób) oraz liczne zespoły amatorskie, prowadzą ożywioną wymianę kulturalną z sąsiadującymi państwami słowiańskimi. Osiągnięcia kulturalne tego najmniejszego z narodów słowiańskich są naprawdę zaskakujące, a bogata twórczość Łużyczan na polu nauki, literatury, sztuki i muzyki w ostatnim dwudziestoleciu jest sprawdzianem ogromnej żywotności narodu łużyckiego.

Badania naukowe odkrywają zapomniane karty kontaktów polsko-łużyckich. Wiele ich kryją jeszcze zbiory archiwalne i biblioteczne. Polacy zawsze bardzo żywo interesowali się Łużyczanami — ich losem, mową i kulturą. Także zainteresowania regionu łódzkiego problematyką Słowian Zachodnich a szczególnie Łużyczan, nie są bynajmniej nowe. Żeby nie sięgać dalej wstecz fundamenty wiedzy w tej dziedzinie założył tu m. in. znakomity językoznawca, prof. Zdzisław Stieber, a dzieło to kontynuują wybitni filologowie na Uniwersytecie Łódzkim. Świetnie zaopatrzona w lusatica Biblioteka Uniwersytecka w Łodzi stwarza bardzo dobre możliwości pracy naukowej i dydaktycznej studiującym języki łużyckie i kulturę narodów zachodniosłowiańskich oraz interesującym się niezmiernie ciekawą problematyką łużycką. W oparciu o lektorat języków łużyckich działa Sekcja Kultury Słowian Zachodnich przy Kole Naukowym Polonistów UŁ (odbywa ona stałe zebrania naukowe, urządza wieczory słowiańskie oraz imprezy naukowe, a ostatnio zorganizowała dużą wystawę lusatików w zbiorach BUŁ).

Tematykę łużycką uwzględnia — w zbyt jednak skromnej mierze — prasa łódzka, więcej natomiast zainteresowania okazuje dla niej łódzka rozgłośnia Polskiego Radia. Na uwagę zasługują także kontakty Miejskiej Biblioteki Publicznej z wydawnictwem łużyckim w Budziszynie. Ożywioną wreszcie wymianę kulturalną z Łużyczanami prowadzi od kilku lat prężny okręg łódzki Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich (latem ub. roku występował na Ziemi Łódzkiej łużycki zespół pieśni i tańca „Lipa", a dwa tygodnie temu gościliśmy u nas teatr amatorski założony przy łużyckim wydawnictwie w Budziszynie).

Widniejące na wstępie piękne słowa najwybitniejszego spośród żyjących reprezentantów łużyckiej kultury narodowej, prof. Michała Nawki z Budziszyna, są realizowane również poza terenem Łużyc (lektoraty łużyckie w wielu krajach Europy i Ameryki), a Łódź w tym szeregu na pewno nie jest ostatnia. Zaprezentowane tutaj tłumaczenia fragmentów różnych form literatury łużyckiej oraz rzucona powyżej garść wiadomości o Łużycach i Łużyczanach może przekona czytających, że nie zamierzaliśmy wywoływać wspomnienia zamarłych już ich słowiańskich, lecz przypomnieliśmy o żywym fenomenie, jakim są bez wątpienia słowiańscy Łużyczanie.

JAN SKALA

Obrazek z czasów wojny

Było ich troje, przybyłych z Polski, osiadłych w niemieckim majątku, ojciec Mirko, syn Tadeusz i córka Maria. Jak ułamane gałązki z kwitnącego drzewa, marnieli przy codziennej robocie od białego rana do ciemnej nocy. Ociężałość cechowała ich chód, ich spojrzenie, wszystkie ich ruchy, ich śpiew. Ich słowa były jak zastrachane głosy osieroconych dzieci, które stoją wśród cudzej radości, jak sprzedane owce bez pasterza. Ojciec Mirko opowiadał niekiedy o ojczyźnie, czytał im starą polską książkę. Tadeusz wtedy drżał, a Maria płakała.

„Maryniu, nie płacz! Czyż Pan Bóg nie jest naszym przyjacielem? Dlaczego mamy płakać, przecież jemy jego chleb i oddychamy jego powietrzem".

„Tatusiu, ale dlaczego jego miłosierdzie nie dało nam domu, kawałka ziemi i zagrody?".

„Maryniu, nie mamy tu stałego miejsca, mówi Pan Bóg, ani tu, ani w domu".

Maria nie odezwała się więcej, a Tadeusz spoglądał zamyślony przed siebie. A Mirko wyjął ze swojej drewnianej skrzyni brązowe, niemal czarne skrzypce i powoli wydobył ze strun głos swego narodu. Przez cały czas nikt się nie poruszył. Nagle Marynia położyła rękę na strunach i w tym samym momencie Mirko przerwał. „Co Maryniu?".

„Bądź pozdrowiona, tatusiu".

A Mirko zagrał preludium, Maria zaś pięknie zaśpiewała: „Bądź pozdrowiona, królowo, matko miłosierdzia...".

Mijała jeszcze jedna noc przybliżająca pokój.

(Fragment opowiadania Wójnski wobrazk z tomu Mój Sokoł)

TŁUMACZYŁA: SŁAWA KOWALSKA

KITO LORENC

Słońce i księżyc

Księżyc znów pokazywał ziemi to swoje pełne, jasne oblicze. Wnet zjawiło się nad horyzontem rozżarzone oko słońca.

Krzyknęło ono na ziemskiego satelitę:

„Dlaczego bierzesz moje światło, żeby nim oświetlać jaśniej swoją ziemską stronę, ty mruku?"

Księżyc odpowie:

„O, kochane słoneczko, to dlaczego jednak mnie oświetlasz?"

TŁUMACZYŁA
SŁAWA KOWALSKA

KITO LORENC

Kiedy odejdę

Kiedy odejdę,
powoli zapomnę o twoich
oczach —
twoje spojrzenia zarośnie
trawa.

Kiedy odejdę
powoli zapomnę o twoich
ustach —
twój głos przysypie piasek.

Kiedy odejdę,
powoli zapomnę o twojej
twarzy —
twój śmiech potoczy się
kamieniem.

Kiedy odejdę,
zapomnę o tobie —
zapomnieć, znaczy zabić.

PRZEKŁAD
SŁAWY KOWALSKIEJ

JURIJ BREZAN

Niech słyszy świat

Trąbili na cały świat,
że kręgosłup Łużyczan złamany,
że muzealny to ludek,
który dziwacznę ma stroje i pieśni,
który interesuje folklorystów
i fotografów,
etnologów
i profesorów
w archiwach.

Więc niech słyszy świat:
Banda faszystów zniszczyła dom,
który zbudowano z ofiar narodu,
który był znamieniem naszego życia.

Naród jednak przeżył spalony dom:
rozbiliśmy jarzmo,
wygnaliśmy paniczyków
i w swoje ręce
wzięliśmy swój los.

Nienawiść zniszczyła stary nasz dom —
ale naród buduje nowy:
Dom braterstwa —
Dom jedności.

TŁUMACZYŁ:
ALOJZY ST. MATYNIAK

FELIKS SERAK

Dla życia

Spotkałem piękną, młodą dziewczynę
nauczyłem się ją kochać
i będę próbował zgłębić tajniki miłości
chociaż wiem, że to niemożliwe.

A jednak rozpościerają się nad nami
ciemne, pochmurne,
z potencjalną zagładą i śmiercią przychodząc
skutki Mary,
która znów gdzieś na świecie
ze swoim sierpem groźnie szaleje
i nasuwa mi się pytanie
czy ma dzisiaj jakikolwiek sens
spełnianie życzeń.

Poznałem piękną, młodą dziewczynę
uczę się żyć tak,
żeby to miało jakiś sens.

TŁUMACZYŁA: SŁAWA KOWALSKA

Wszystkie zamieszczone tutaj teksty tłumaczone były z języka górnołużyckiego.

ZDZISŁAW SKWARCZYŃSKI

O POMNIK REYMONTA?

Godne uczczenie wielkiego pisarza w setną rocznicę urodzin — to na pewno temat dla publicystyki. Wręcz wielkiej publicystyki wymaga sprawa pomnika. Któż zaś bardziej do takiego wystąpienia powołany, jeśli nie wybitny pisarz, autorytet intelektualny i moralny, który przed własnym na cokół wstąpieniem poleca przekonująco klasyka pamięci swego pokolenia. Istotą wszakże wielkiej publicystyki chyba jest, że jej przesłanki i racje intelektualne czy moralne zachowują swą ważkość, nawet gdy publicysta myli się w konkluzji. Sądzę, że wstępnym tego warunkiem jest poważne traktowanie czytelników, których pragnie zjednać się dla sprawy i zmobilizować do współdziałania, co najmniej zaś do ofiarności i to w skali ogólnopolskiej. Ciekaw reakcji publiczności na art. M. Piechala **O pomnik i muzeum Reymonta** w numerze 3 (417), dopiero obecnie — skłoniony jej milczeniem — zabrać chcę głos w sprawie samego artykułu.

Propozycja pomnika Reymonta, jeśli nie przyświeca jej beztroskie: „Grecja płaci...", powinna chyba dostarczyć czytelnikom wstępnego choćby, ale rzetelnego rozeznania, czy to jest najwłaściwsza forma uczczenia pamięci pisarza i jakich to wymaga środków? Chodzi przecie o niebagatelne, nawet grube miliony. Dostarczyć zaś ich ma świat pracy, bądź bezpośrednio w formie składek i ofiar, bądź pośrednio jako wytwórca dóbr i podatnik.

Przysięgłych monopolistów tradycji łódzkich powinna chyba czegoś nauczyć historia, niezbędnej wtedy, odbudowy pomnika Kościuszki. Odbudowa ta zarysowała wyraziście proporcje między możliwościami i wysiłkiem spontanicznych, najbardziej rozentuzjazmowanych ofiarodawców a rzeczywistym udziałem różnych organów państwa, które musiały przejąć główny ciężar dostarczenia środków. Wprawdzie odrzec można: to przecie racja ich istnienia, ale nie zapominajmy, że nie są one czymś przeciwstawnym do społeczeństwa, tworzą jego możliwie najsprawniejszą zorganizowaną i świadomą część, wreszcie zaś, że nas wszystkich obowiązują te same zasady gospodarowania. Godziło się więc poważnie zorientować czytelników o możliwościach i stanowisku tych organów wobec omawianej sprawy.

Tym bardziej, że miliony pociągająca impreza może kolidować z podstawowymi planami i zamierzeniami. Każdy chyba łodzianin zdaje sobie sprawę, jak wiele zrobiono w ciągu dwudziestolecia w mieście, żeby jego mieszkańcy żyli wygodniej i higieniczniej, żeby usunąć elementarne i najpowszechniejsze zaniedbania kapitalistycznego okresu. Wiadomo też, ile jeszcze jest do zrobienia. Niemal równa się to, rozłożonej tylko na etapy, całkowitej odbudowie naszego miasta. Kierunek tego działania, bezspornie słuszny i respektujący potrzeby świata pracy stawia pod znakiem zapytania pomnik jako najwłaściwszą formę naszej pamięci o pisarzu.

Może o niej bodaj równie dobrze zaświadczyć gmach użyteczności publicznej, a miasto nie ma przecie ich nadmiaru. Osobiście wolałbym za rzeczone miliony jeszcze jedną piękną czy może najpiękniejszą szkołę lub gmach uniwersytecki niż spiżowy czy granitowy monument. Akcentując użyteczność nie wykluczam walorów estetycznych obiektu, jako „że użyteczne nigdy nie jest samo, że piękne wchodzi nie pytając bramą". Dysponując środkami i określonym tworzywem, mając świadomość przeznaczenia dziś dopiero możemy spełnić oba postulaty nie w tradycyjnej, mieszczańskiej formie, ale w stylu naszej epoki dźwigającej całe zespoły urbanistyczne.

Skoro zaś o zespołach architektonicznych mowa: Podczas wstępnego posiedzenia zainicjowanego na powyższe tematy przez Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, nawiasem zaś osobiście boleję bardzo, że zebrani nie powierzyli przewodnictwa autorowi art. **O pomnik i muzeum Reymonta**, miałbym bowiem zrozumiałą przyjemność (przyjemności są rzadkie) oglądania go w dośrodkowym działaniu, wysuwano m. in. plac Reymonta jako najwłaściwszy na ten cel. Otóż kto zna aktualną zabudowę tego placu, bierze pod uwagę jego całkiem odmienną w przyszłości organizację architektoniczną. Kto wie, czy — jak sugerowali podczas zebrania plastycy — mozaiki, tematycznie związane z twórczością Reymonta, nie będą odpowiedniejszym elementem niż posąg czy popiersie? W każdym razie czytelnicy mieli prawo oczekiwać od propagatora pomnika nieco informacji i rozważenia sprawy, by sytuacja nie przypominała tej z cytowanego już wiersza:

NIEJEDEN (...) WIDZIAŁ
APPOLINA
I SKOPASOWĄ MILEJSKĄ
WENERĘ,
A WYPROWADZIĆ NIE UMIE
KOMINA,
W OGRODZIE KRZYWO
ZAKREŚLA KWATERĘ (...)

Przywołuję Norwida, by trafić do przekonania adwersarzowi, choć nie sądzę, by poglądy na sztukę i kulturę tego poety mogły stanowić jedyny kapitał obrotowy współczesnego publicysty chodzącego w butach, nie zaś na koturnach.

Mniejsza, że artykuł nie dostarcza dostatecznie ważkich przesłanek, dlaczego to cała Polska ma przyłożyć się do budowy pomnika Reymonta w Łodzi, nie dostarcza też żadnych konkretnych propozycji urzeczywistnienia muzeum, łatwiejszego pod pewnymi względami niż pomnik, choć nie z dnia na dzień.

Nie od dziś wiadomo, że gromkie pokrzykiwanie nie świadczy dobrze o racjach publicysty. Tak i tym razem z pomnikiem historyczno-literackim Reymonta.

Wydana w 1953 r. najlepsza książka o Reymoncie L. Budreckiego powstała na zamówienie Instytutu Badań Literackich, konkretnie: Janusza Wilhelmiego w zastępstwie Ewy Korzeniewskiej. Miała to być na ówczesnym etapie niezbędna synteza historyczno-literacka oparta o ówczesny stan badań. Autor, w tej samej mierze pisarz, krytyk, co i badacz literatury, miałby słuszny przecie powód obrazić się, gdyby mierzono jej efekty miarą pojęć o literacie, dostarczonych w art. **O pomnik Reymonta**. Dobrze też wie, czego jeszcze potrzeba, by mogła powstać pełna monografia.

Nieporozumienie w art. **O pomnik** polega na tym, że Reymont — i nie on tylko — nie jest pisarzem, którego winien współczesny człowiek wielbić za wszystko i ryczałtem. Szukając trwałych wartości musimy zbadać krytycznie i ustalić bezsporne możliwie największą ilość faktów. Całej tej przygotowawczej roboty laik może i nie jest obowiązany dostrzegać. Oceni ją tylko fachowiec, jak słusznie pisze o tym J. Krzyżanowski w **Nauce o literaturze** (Wrocł[illegible] 396). Ktoś natomiast, [illegible]ciłoby otarł się o polonistyk[illegible] mógłby zdawać sobie sprawę, że [illegible] syntezy nie wytrząsa się z rękawa, jeśli nie ma ona być synonimem produktów w rodzaju syntetycznej herbaty. Wreszcie, że szacunek dla czytelnika może powstrzymać przed wynoszeniem na rynek takich namiastek, nawet gdyby na oko były dostatecznie efektowne. I popularyzacja dziś nie może lekceważyć słuchacza czy też czytelnika. I w publicystyce minęły bezpowrotnie czasy, gdy Tytus Gorzeń (nie mylić z Gorzeniem Górnym, mającym pewne znaczenie dla lite-

Od Przełęckiego do Konrada

Pamiętam dobrze: był rok 1936, marzec, sobota. Do Starachowic, w których mieszkałem, przyjechał zespół „Reduty" z przedstawieniem sztuki „Powrót Przełeckiego". Było to moje pierwsze zetknięcie się z utworem Jerzego Zawieyskiego i również pierwsze ujrzenie Juliusza Osterwy w legendarnej roli. Jeśli dodam, że działo się to w przeddzień mojego wyjazdu na stałe do Warszawy — okoliczności okaża się dostatecznie ważne, aby zapamiętać, co się wtedy zdarzyło. „Powrót Przełeckiego" bardzo mi się spodobał, ale nie potrafię już dziś powiedzieć, ile było w tym zasługi autora, a ile wykonawcy. Zapewne zasługi rozkładały się po równi, bowiem trudno sobie wyobrazić, aby Osterwa mógł zagrać dobrze w złej sztuce. Nigdy później nie widziałem „Powrotu Przełeckiego" na scenie. Nie wiem nawet, czy był wznowiony po wojnie i jak przyjęła go nowa publiczność.

Jerzy Zawieyski napisał przez te lata wiele innych sztuk, które zyskały sobie wziecie i powodzenie. Namawiałem kiedyś Kazimierza Dejmka, aby wystawił jego „Pożegnanie z Salomea". Nie udało mi się, niestety. A swoją drogą nie mogę się nadziwić, że żaden z łódzkich teatrów nie sięgnął do tej pory po któryś z dramatów Jerzego Zawieyskiego!

W środowiskach artystycznych obudziła ostatnio duże zainteresowanie najnowsza powieść Zawieyskiego „Konrad nie chce zejść ze sceny". Przeczytałem tę książkę, podzielam w pełni zainteresowanie się nią, i tych, którzy jej jeszcze nie czytali, namawiam do czytania. Jest to powieść ze wszech miar godna uwagi, bardzo polska, artystycznie — dojrzała i piękna. Na długie zimowe wieczory lektura wzruszająca, która pobudza do refleksji i zamyślenia.

„Konrad nie chce zejść ze sceny" jest powieścią o teatrze, a ściślej — powieścią o aktorze, a jeszcze ściślej — powieścią o aktorach. Narrator poszukuje prawdy o swoim ojcu — Klaudiuszu Pomianie, najlepszym odtwórcy roli Konrada w „Wyzwoleniu" Wyspiańskiego, który po triumfalnym przedstawieniu zmarł tej samej nocy, zażywszy zbyt dużą ilość środków nasennych. Wnuk Pomiana a syn narratora, Tadeusz, jest także aktorem, aktorem współczesnego teatru, ale przemian w sztuce współczesnej zmarły nie aprobował, w każdym razie nie aprobował całkowicie. Nie rozumie ich również opowiadający te historie i szukający wyjaśnienia zagadki aktor skiej rodziny — narrator. W poszukiwaniu rozwiązania tej zagadki pójdziemy z nim w w głąb czasu, w wiek dziewiętnasty, by odkryć historię jego babki — Leontyny, Francuzki z pochodzenia, która wyszedłszy za mąż za Polaka, przyjedzie do Polski i zwiąże los swój z krajem, pokocha ten kraj, ale go nigdy do końca nie zrozumie. Leontyna była dobrze zapowiadającą się aktorką francuską, po przyjeździe do Polski — pragnie kontynuować pracę artystyczną, lecz jej się to nie udaje. Obowiązki żony, matki, obowiązki obywatelskie i patriotyczne rzucą ją w wir innych spraw, zwłaszcza, gdy mąż jej zostanie aresztowany i wywieziony na Sybir. Są więc w powieści Zawieyskiego jakby dwa nurty: współczesny i dawny, fabuła miesza się tu z ujęciami eseistycznymi, fikcja z prawdą, tworząc materiał ciekawy i pasjonujący. Ale to rozgraniczenie: współczesność — historia, jest pozorne, w istocie powieść Zawieyskiego stanowi dzieło tyleż współczesne, co i historyczne. „Konrad nie chce zejść ze sceny" to w równym stopniu los aktorów teatralnych, jak i aktorów występujących na historycznej scenie Polski, w jej dziejach, tak mrocznych i tak pełnych blasku zarazem. Leontyna, występująca na teatrum historii, w kraju powstań, rewolucji, klęsk i wygnania, staje się symbolem czegoś wielkiego i niezniszczalnego: symbolem ludzkiej siły, wiary i walki. Polska jest cała w teatrze — pomyśli Leontyna i pomyśli dobrze. Bo kiedy odebrano narodowi wolność, kiedy naród podzielono i podeptano, słowo i scena pomogły mu przetrwać, ocalić jego myśli, nadzieje i marzenia. W Polsce spór o sztukę był zawsze sporem o naród, jego historię i jego przyszłość. Stanie się to również wtedy, gdy Polska odzyska niepodległość, a nawet wtedy spór ten wybuchnie z większą, gorętszą siłą. Pisarze i artyści, marzący o uwolnieniu się od obowiązków społecznych i narodowych, bynajmniej się ich nie pozbędą.

Jerzy Zawieyski wprowadzi nas również do „Reduty", a ma tym większe do tego prawo, że sam był kiedyś członkiem jej zespołu. Zawiedzie nas potem w czas powojenny i tak, kreśląc historię stu lat teatru polskiego, nada swej opowieści rangę i moc wielkiej metafory historycznej.

Dawno już nie czytałem książki tak ważnej i tak żarliwie napisanej. Łuk rozpięty pomiędzy dramatem „Powrót Przełęckiego" a powieścią „Konrad nie chce zejść ze sceny", jest łukiem triumfalnym pisarza, który zamyka za sobą czterdzieści lat pracy twórczej.

Jan Koprowski

MARIAN PIECHAL

O JERZYM ZAWIEYSKIM

Najwybitniejszy to dziś łodzianin w naszej literaturze. Urodził się na Radogoszczu w w roku 1902, ale wczesne dzieciństwo i pierwszą świadomość kształtowała mu inna dzielnica naszego miasta, tzw. Szlezyng. Od opisu tego Szlezyngu właśnie i pierwszych lat trudnego chłopięctwa tam spędzonego rozpoczął Zawieyski swój start powieściopisarski w utworze pod wielce charakterystycznym i znamiennym dla całej dalszej jego twórczości tytułem: „Gdzie jesteś, przyjacielu?".

Miał wtedy lat trzydzieści. A co robił przedtem? Pasjonował się teatrem, grał jakiś czas w łódzkim Teatrze Popularnym, stworzonym i prowadzonym przez znanego dziś i zasłużonego nestora aktorstwa łódzkiego, Józefa Pilarskiego. Potem, w roku 1926 ukończył szkołę dramatyczną w Krakowie i wstąpił jako już zawodowy aktor do słynnego zespołu Juliusza Osterwy — „Reduty". Jednak powołanie powieściopisarskie Zawieyskiego jest snadź silniejsze ponad wszystko i domaga się swego wyrazu. Był on, ten wyraz, zgodnie z naturą autora, bardzo początkowo skromny i nieśmiały, lecz dogłębnie rzetelny. Zawieyski, korzystając z dotychczasowych swoich doświadczeń aktorskich, dokonuje adaptacji scenicznej „Chłopów" Wł. St. Reymonta, których premiera odbyła się w warszawskim Teatrze Odrodzonym na Pradze w dniu 11 marca 1926 roku. Był to debiut literacki aktora Jerzego Zawieyskiego. Czy udany? Posłuchajmy opinii Boya-Żeleńskiego, który w swojej recenzji z premiery tej adaptacji tak o niej pisał w „Kurierze Porannym":

„Przetworzenie wspaniałego eposu Reymonta na dramat mogłoby się wydać zamiarem niebezpiecznym... A jednak mimo wszystkich niebezpieczeństw, trzeba stwierdzić, iż zamiar ten — w ramach popularnego widowiska — powiódł się bardzo dobrze. Realizacja sceniczna wydobyła po prostu z „Chłopów" nowe ich wartości, ukazała, ile w tej epopei jest pierwiastka dramatycznego... Oto najlepszy dowód, iż przeróbka sceniczna dokonana została umiejętną ręką. Dano w niej sporo elementu widowiskowego, jak np. scena weselna i oczepiny Jagusi, aż oko się radowało od gry łowickich kolorów, a dziarski taniec trzeba było, oczywiście, powtarzać... To zaś, co jest dramatem, ujął p. Zawieyski z pewną szlachetną miarą, unikając łatwego zbrutalizowania efektów... Sztukę przyjęto na wczorajszej premierze bardzo gorąco. A podobno napływają już z kresów i poznańskiego zaproszenia o przyjazd warszawskiego zespołu z „Chłopami".

Umyślnie przytoczyłem w obszerniejszym fragmencie tę wypowiedź Boya, szczęśliwego ojca chrzestnego dzisiejszego dramatopisarza Jerzego Zawieyskiego, który oto obchodzi w roku bieżącym 40-lecie swej pracy pisarskiej. Ten jubileusz Zawieyskiego zbiegł się akurat z setną rocznicą urodzin Reymonta, twórcy „Chłopów", pisarza światowej sławy, bo drugiego, obok Sienkiewicza polskiego laureata nagrody Nobla. Jak to byłoby pięknie, gdyby teatry łódzkie zdobyły się, korzystając z tych zbieżnych rocznicowych okazji, na wystawienie zarówno „Chłopów" Reymonta, syna Ziemi Łódzkiej, jak i któregoś z licznych dramatów Jerzego Zawieyskiego, syna samej Łodzi. Przecież to się obu tym znakomitym ziomkom naszym należy!

Po tym pobożnym, ale pełnym nadziei, westchnieniu idźmy dalej. Widzimy więc, że Zawieyski jako łodzianin zadebiutował tematem łódzkim. Sama Łódź będzie też tematem następnej jego pracy literackiej, owej wspomnianej już pierwszej jego powieści „Gdzie jesteś, przyjacielu?", znacznie jednak wzbogaconej o nowe tymczasem doświadczenia życiowe autora. W międzyczasie bowiem Zawieyski współdziałał ze znanym folklorystą Jędrzejem Cierniakiem w organizowaniu widowisk ludowych i w założeniu oraz redagowaniu pisma „Teatr Ludowy". W latach 1929—32 przebywał Zawieyski we Francji w roli instruktora przedstawień i widowisk amatorskich wśród polskich ośrodków wychodźstwa robotniczego, co potem znalazło znamienny wyraz w jego pierwszej powieści. W tej powieści znajdujemy także jedyny w literaturze polskiej, tak szeroki i autopsyjny obraz przedmieścia robotniczego Łodzi z okresu pierwszej wojny światowej i u progu odradzającej się niepodległości państwowej. Ludwik Stolarzewicz, streszczając sąd innych krytyków o tej pierwszej powieści Zawieyskiego, pisze w swej „Literaturze Łodzi w ciągu jej istnienia": „Dzieło naprawdę rzetelnego talentu! Karty tchną prawdą i bezpośredniością! Wszak sam autor przeżył te chwile, sam zaznał nędzy i głodu...". Zaś Kazimierz Czachowski w trzecim tomie swego „Obrazu współczesnej literatury polskiej" dodaje: „Jest ta powieść nadto znamiennym dokumentem chwili, jako objaw rozczarowania powojennego, co wyraża się także w jej zakończeniu, gdzie autor przeciwstawia się zbliżającemu się widmu nowej wojny i wzywa o przyjaciela w człowieku dla człowieka".

Utrafił tu Czachowski w samo sedno ideowe twórczości Jerzego Zawieyskiego. Bowiem wszystkie jego następne powieści i opowiadania, wszystkie jego dramaty, wszystkie eseje społeczno-filozoficzne, dzienniki i notatki liryczne, to jedno wielkie wołanie o przyjaźń między ludźmi, o sojusz w niedoli wspólnego życia, o braterstwo, o wzajemne zrozumienie, wyrozumienie i miłość. Jeden z najwrażliwszych młodych krytyków polskich, Andrzej Kijowski, tak oto charakteryzuje postawę pisarską autora „Romansu z ojczyzną": „Pisarz ten pozostał wierny swej młodości artystycznej, która kształtowała się pod urokiem Żeromskiego i Młodej Polski. Jest pisarzem tworzącym świadomie, z wielkim poczuciem odpowiedzialności, swą biografię literacką; jego twórczość jest dokumentacją wewnętrznych przemian, osobistej rozgrywki ze światem, nieustannym zwierzeniem z trudów istnienia i myślenia; Zawieyski posiada dar wciągania czytelnika w swój labirynt wewnętrzny; gdy błądzi nawet, sprawia, że czytelnik błądzi razem z nim. Ciepły, intymny tok jego prozy zdaje się być zaproszeniem do tego uczestnictwa, wołaniem do nieznanego przyjaciela".

Okazałe jest drzewo twórczości Jerzego Zawieyskiego. Mocno zakorzenione w ziemię i szeroko rozgałęzione w niebo. Bo wymieńmy tylko same tytuły: „Gdzie jesteś, przyjacielu?" (1932), „Daleko do rana" (1934), „Droga do domu" (1946), „Noc Huberta" (1948), „Wawrzyny i cyprysy" (1966), „Konrad nie chce zejść ze sceny" (1967) — to powieści, a „Pokój głębi" (1956) i „Romans z ojczyzną" (1963) — to opowiadania, zaś „Owoc czasu swego" (1957), „Próby ognia i czasu" (1958), „Brzegiem cienia" (1960) i „W alei bezpożytecznych rozmyślań" (1965) — to eseje, dzienniki i rozważania moralno-filozoficzne. Ale główny korpus jego twórczości, to dramaty, grane na wszystkich scenach polskich w kraju (prócz, niestety, Łodzi!), a które w liczbie dwudziestu wydane zostały w trzech grubych tomach w latach 1957 i 1961. Można by je z grubsza podzielić na cztery rodzaje: dramaty polityczne (antyfaszystowski sprzed wojny „Dyktator On"), społeczne („Powrót Przełeckiego" i „Portret Łukasza"), psychologiczne („Rozdroże miłości" i „Wysoka ściana") i filozoficzne (jak „Maż doskonały", „Sokrates", „Pieśń nadziei", „Ziemia nie jest jedyna" i inne).

To tylko Jerzy Zawieyski jako autor. Ale jest jeszcze Jerzy Zawieyski jako działacz społeczny, redaktor, publicysta, niezwykle czynny członek Zarządów Głównych Związku Literatów Polskich, PEN-Clubu, Związku Artystów Dramatycznych, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej i Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Izraelskiej, od dziesięciu przeszło lat poseł na Sejm i członek Rady Państwa. Oto krótka lista prac, zajęć i funkcji publicznych i obywatelskich Jerzego Zawieyskiego, które dopełniają i niejako zasilają jego twórczość literacką. Ożywiająca go energia intelektualna i moralna wypływa u niego z jednego źródła: miłości bliźniego! Na żarliwe pytanie jego łódzkiej, trudnej i niespokojnej, młodości: „Gdzie jesteś, przyjacielu?", odpowiadają mu teraz w całym kraju tysiące i tysiące czytelników jego książek, tysiące i tysiące widzów jego sztuk teatralnych, tysiące i tysiące świadków i doświadczycieli jego działalności publicznej.

Jerzy Zawieyski

ratury) głosił gromko niezbyt dojrzałe myśli i liczył na ich powodzenie w Łodzi. Można też dorzucić — co widać jak na obrazku w art. **O pomnik i muzeum Reymonta** — że nie zawsze samo „pisanie to właśnie praca najbardziej poważna i najbardziej odpowiedzialna". Nie korzystają zresztą z tego moralnego alibi pisarze nie powielający samych siebie, choć powielanie uporczywe może dawać złudę autorytetu, pisarze młodzi i starzy bogacący swe zasoby intelektualne i warsztat. Widujemy ich po bibliotekach, archiwach i w terenie. Obchodzi ich przede wszystkim, co mają do powiedzenia czytelnikom, nie zaś, by za wszelką cenę utrzymać się przy raz zdobytym głosie. Ich też tylko znaczenie przekracza ołtarki sztucznie kultywowanego zaścianka.

Nie jestem upoważniony do wypowiadania się w imieniu Uniwersytetu Łódzkiego. Nie decyduję też o kierunku prac w katedrze, dzielę to zresztą z innymi miejscowymi pracownikami jej i nikogo ten osobliwy stan rzeczy nie obchodzi. Najczęściej w nadziei korygować go, jeśli chodzi o naszą łódzką, inspiracja, podsuwa problemy magistrantom i doktorantom. Jako historyk literatury obiecie zajmuję się przełomem XVIII i XIX w., mógłbym tedy rzec, że nie tylko Bóg chroni od zajmowania się niektórymi „wieszczami" lokalnymi. Z tym wszystkim postaram się wykazać, że tematyka łódzka zajmuje sporo miejsca w pracach historyczno-literackich w Łodzi.

Głównym, wznowionym po wojnie, organem środowiska polonistycznego w Łodzi stały się „Prace Polonistyczne". Towarzyszyły im przez pewien czas takie czasopisma, jak: „Życie Literackie" („Zagadnienia Literackie") i „Polonista", anektowany później przez Warszawę i zmieniony na „Polonistykę". Same „Prace" przechodziły krytyczne momenty w których podtrzymywali je materialnie tylko nauczyciele, następnie zaś Uniwersytet i Łódzkie Towarzystwo Naukowe. W momencie powstania „Zagadnień Rodzajów Literackich" absorbujących głównie teoretyków literatury, „Prace" stały się organem historyków literatury. Wzmiankuję o tym dlatego, że ujawniająca się na łamach tego rocznika tematyka łódzka traktowana była i przez gościnnie występujących historyków o zainteresowaniach literackich, i przez teatrologów nim związali się oni ściślej z teoretykami literatury, i przede wszystkim teoretyków literatury, których aktualnie autor art. **O pomnik** uwalnia elegancko od obowiązku jego budowy.

Wymienić należy najpierw gości. A więc: B. Baranowskiego **Echa dawnych zwyczajów prawnych w Chłopach Reymonta** (S. VI, 1948); E. Ajnenkiela **Polskie rewolucyjne pieśni robotnicze z 1875 — 1915** (S. VI, 1948); **Wydawnictwa i drukarnia Proletariatu w Łodzi** (S. XI, 1953). **Piosenki i wiersze robotniczej Łodzi w l. 1882 — 1939** (S. XIV 1958); A. Czyżewskiego **Na marginesie pracy E. Ajnenkiela Polskie rewolucyjne** etc. (S. VII, 1949); R. Kaczmarka **Wiktor Dłużniewski — pierwszy piewca Łodzi** (S. XII 1955).

A dalej już pisali o literaturze Łodzi i regionu: T. Czapczyński **O genezie niektórych nowel M. Konopnickiej** (S. XII, 1955); H. Karwacka **Łódzkie wydanie Pana Tadeusza z 1906 r.**, pierwsze w kraju pełne wydanie (S. XIII, 1957); I. Maciejewska **Twórczość powieściowa M. Gawalewicza**, autora Bawełny (S. XIV, 1958); J. Tynecki **Tadeusz Miciński. Młodość, początki literackie** (S. XVI, 1960); H. Malanowicz **Łódzkie czasopisma literackie i z literaturą związane w okr. dwudziestolecia 1918—1939** (S. XVI, 1960 i S. XVII, 1961).

Historycy literatury przyrzucili niejedno do historii teatru w Łodzi. Wspomniany już J. Tynecki opracował: **Teatr Polski w Łodzi w sez. 1918—19**, pod dyr. Rychłowskiego, (S. XV 1959). **Lewantyńską przygodę W Wroczyńskiego** (S. XIX, 1963), a wespół z S. Dąbrowskim: **Teatr łódzki 1895—1900**, pod dyr. M. Wołowskiego (S. XXII, 1966 i S. XXIII, 1967).

„Prace" umożliwiły publikację wspomnianych w wywoławczym art. fragmentów rzeczy W. Lipiec o Zelwerowiczu: **Inscenizacja Dziadów Mickiewicza na scenach łódzkich w l. 1908—1910** (S. XIII 1957) oraz **Wesele i Klątwa Wyspiańskiego na scenie w teatrze łódzkim 1908/09—1909/10** (S. XIV, 1959). Gościnnie pomieścił na kartach łódzkich „Prac" teatrolog S. Dąbrowski: **Występy Modrzejewskiej w Łodzi** (S. XVIII, 1962). W „Pracach" (S. XIV, 1958; S. XV, 1959; S. XIX, 1963) ukazała się bibliografia teatru łódzkiego lat 1945—1960, S. Kaszyńskiego (z udz. K. Kaszyńskiej), fundament pracy teatrologicznej na ten temat.

Na rynku księgarskim znajdująca się seria „Prac" przynosi: A. Kowalskiej **Nieznany utwór sceniczny o „Ziemi Obiecanej"**, H. Karwackiej **O działalności teatralnej W. Wandurskiego** (nim ukaże się książkowa rzecz na ten temat); W. A. Kempy **Tuwimiana łódzkie**; J. Dunina **O piosence z robotniczego miasta.** Seria zaś oddana do druku zawiera m. in. źródłową rzecz T. Listek-Gorczycy **Ostatnie lata Z. Bartkiewicza w świetle korespondencji.**

„Prace" prowadziły nim fata nie położyły temu kresu, przez szereg lat **Diariusz kultury łódzkiej** (J. Trzynadlowski i A. Kowalska), kontynuowany później w zwężonym zakresie przez S. Borowkina. Na zamówienie „Prac" opracował dla nich (S. XVIII, 1962) historię łódzkiej „Kroniki" literat J. Koprowski.

Przygotowywana na ten rok seria „Prac" ma zawierać: historyków literatury: **Natura i cywilizacja w poglądach Reymonta. Reymont jako reportażysta. Reymont i Jaroszyński, autor Ściganej w świetle korespondencji**, oraz ogólne ujęcie twórczości Reymonta; językoznawcy: **Stylizacja językowa w Chłopach Reymonta**; filmoznawców: **Inspiracja filmowa w twórczości Reymonta i Ekranizacja dzieł Reymonta**; być może również etnografia: **Reymont a kultura ludowa.** Każdy, kto zna pracę Romankówny: **Ziemia Obiecana Reymonta a rzeczywistość łódzka**, wie, jak bardzo uzasadnione jest ponowne podjęcie tego tematu. Zadeklarował to teatrolog: S. Kaszyński. Być może znajdzie się w tym tomie korespondencja Reymonta do Grzymały-Siedleckiego.

W moim zakładzie gromadzi się materiały źródłowe do twórczości Z. Bartkiewicza, do dziejów „Meteora". Grupy a.r., przygotowuje źródłową pracę o T. Micińskim, inną o S. Karpińskim, możemy oddać do dyspozycji wydawnictwa monografię wybitnego krytyka romantycznego, związanego z naszym regionem J. L. Żukowskiego, pracę źródłową o S. Gillerze.

A i w okresie dwudziestolecia, które nie rozpoczęło się z miłościwym wstąpieniem na tron, historycy literatury więcej napisali sensownych rzeczy o Reymoncie we „Wsi", niż autor art. **O pomnik**, nie zdradzający wtedy, gdy było w Łodzi sporo wybitnych pisarzy, znaczniejszego wigoru.

Mógłbym zapytać: Maedchen, was willst du noch mehr?

Na wspomnianym zebraniu, na którym był również autor art. **O pomnik**, przedłożyłem propozycję wydania popularnych monografii poświęconych życiu i twórczości Tuwima, Micińskiego, Reymonta i Bartkiewicza na początek serii o pisarzach łódzkich. Czy smutny przywilej wieku zwany zanikiem pamięci, czy irytacja spowodowały przemilczenie? Jeśli tej listy nie pomnożyłem o kilka innych nazwisk twórców łódzkich to dlatego, że wymagają one jeszcze staranniejszego przygotowania, bo też — generalnie rzecz biorąc — przydałoby się to bardzo niektórym pracom o kulturze Łodzi, jakie ukazały się w kształcie książkowym.

Zrekapitulujmy. Kto tu śpi? Czy nie **laudator temporis acti**, który w sposób ewidentny dawno zamknął swe lektury na dziełach osobistych przyjaciół, choć i tego nie można być pewnym, skoro za wyczerpującą uważa książkę Stolarzewicza? Czy nie z nadmiaru miłości własnej płynie przesadna obawa, że historycy literatury w Łodzi się obrażą o ten zabawny epizod w stylu buffo od lat odgrywanego widowiska na benefis młodych pisarzy?

Szkoda tylko że poważna sprawa Reymonta na tym nie zyskała.

Rozmowy o filmie

Wkrótce odbędzie się premiera nowego filmu Juliana Dziedziny. Film nosi tytuł „Bokser". W roli głównej Rafał Olbrychski, który ostatnio specjalizuje się w rolach sportowych. „Bokser" jest pią tym z kolei po „Decyzji", „Mam tu swój dom", „Rachunku sumienia" i „Świętej wojnie", filmem młodego reżysera. Ponadto Dziedzina współreżyserował wraz z innymi absolwentami łódzkiej PWSTiF „Koniec nocy" i „Miasteczko".

Dziedzinę zastajemy w gabinecie zespołu „Start" na terenie łódzkiej WFF. Wita nas wiązanką kwiatów (skromną!) i wodą sodową. Kwiaty otrzymujemy z uwagi na fakt, że jesteśmy pierwszymi przedstawicielami łódzkiej prasy, którzy zainteresowali się jego twórczością i osobą. Woda sodowa sprzyja zaś, jak wiadomo, wytworzeniu przyjaznej i serdecznej atmosfery jaka winna towarzyszyć wszelkim spotkaniom. Po przełamaniu pierwszych lodów przystępujemy zatem do charakterystycznej dla wywiadów czynności zadawania pytań.

ODGŁOSY: Jest Pan absolwentem łódzkiej Szkoły Filmowej. Należy Pan do tych nielicznych twórców filmowych, którzy jeszcze mieszkają w Łodzi. Czy czuje się Pan jakoś z nią związany?

J. DZIEDZINA: Z pewnością. „Koniec nocy" był filmem o Łodzi, łódzkich chłopakach, ulicach. Pokazaliśmy kawałek prawdziwej Łodzi. Nawet „Miasteczko", którego akcja rozgrywała się w Sieradzu, był ściśle związany, przynajmniej z naszym województwem.

ODGŁOSY: A dlaczego później oderwał się Pan niemal całkowicie od Łodzi? Pracował Pan we Wrocławiu, kręcił filmy o Szczecinie?

J. DZIEDZINA: W Łodzi, moim zdaniem, nic się właściwie nie dzieje. Twórcze środowisko szczecińskie, na przykład, jest bardzo aktywne, pełne inicjatywy. Weźmy pierwszy lepszy przykład: szczeciński Klub SPATiF-u, Klub 13 Muz rozwija bardzo ożywioną działalność kulturalną. Niemal codziennie odbywają się tam jakieś imprezy, spotkania, odczyty, pokazy, występy teatrów eksperymentalnych, teatru propozycji itd. A co się dzieje w łódzkim SPATiF-ie? Lepiej nie

wspominać. Władze Szczecina czy Wrocławia okazywały nam zawsze ogromną życzliwość i troskliwość. Wydaje mi się, że nie przywiązuje się należytego znaczenia do faktu, iż Łódź jest stolicą polskiego filmu.

ODGŁOSY: Zajmijmy się wobec tego Pańskimi filmami. W Pana twórczości znaleźć można próby podjęcia bardzo ambitnej problematyki społecznej i politycznej. Myślę oczywiście o „Rachunku sumienia" i „Mam tu swój dom". Ostatnio jednak, od czasu „Świętej wojny", zrezygnował Pan z tego rodzaju filmów.

J. DZIEDZINA: Te filmy miały dla mnie istotne znaczenie ale, niestety, nie spotkały się z oddźwiękiem u publiczności. „Mam tu swój dom" otrzymał wprawdzie nagrodę państwową, ale to nie zmienia istoty rzeczy. Tego typu filmy nie cieszą się powodzeniem, a nie można przecież działać w pustce. Widz jest sprawą najważniejszą przynajmniej dla mnie. Należy robić takie filmy, które potrafią zainteresować widza. Ogromne znaczenie ma tu forma, sposób podania. Temat staje się, oczywiście tylko w pewnym sensie, sprawą wtórną. Myślę, że moim obowiązkiem jest robić filmy właśnie dla widza.

ODGŁOSY: A dlaczego Pana zdaniem owe filmy ambitne nie podobają się widzowi?

J. DZIEDZINA: Bo są po prostu nieatrakcyjne.

ODGŁOSY: A czy nie stać nas na robienie atrakcyjnych filmów społecznych i politycznych?

J. DZIEDZINA: To nie jest takie proste. Nie mamy odpowiednich tradycji, nawet w literaturze. Nie bez znaczenia, oczywiście ujemnego, jest pewien panujący u nas schematyzm myślenia, nie uzasadnione tabu, o którym wspominał ostatnio KTT. Kto wie czy najlepszych filmów społecznych i politycznych nie robią Amerykanie? Są one zarazem bardzo atrakcyjne widowiskowo, chociażby „Ten najlepszy".

W obecnej sytuacji chcę po prostu dać widzowi dobre, dobrze zrobione filmy. Ludziom potrzebna jest dobra rozrywka. O tym często zapomina się u nas. KTT miał rację, kiedy pisał, że mamy zbyt wielu geniuszy filmowych, jak na tak mały kraj. A kinematografia jest także przemysłem rozrywkowym. Dlatego zrobiłem komedię. Myślę o „Świętej wojnie". Być może, racje mają ci, którzy twierdzą, iż jest ona oparta na starych przedwojennych wzorach. Zresztą nie rezygnuję z akcentów moralnych czy nawet dydaktycznych. „Bokser" jest przecież historią chłopca, który z małomiasteczkowego chuligana awansuje do roli reprezentanta Polski na olimpiadzie. Chciałem pokazać możliwości przemiany człowieka i jej realizację.

ODGŁOSY: Obecnie na łamach prasy tzw. kulturalnej toczy się dyskusja na temat kryzysu w polskim filmie. Jakie jest Pana stanowisko jako twórcy?

J. DZIEDZINA: Kryzys rzeczywiście istnieje. Nie ma dobrych, atrakcyjnych filmów. Wszyscy chcą albo zbawiać ojczyznę, albo robić sztukę przez wielkie „S". Powstają filmy wydumane, pseudo-artystyczne. I nie pomogą tu nawet festiwalowe laury. Ludzie nie chcą oglądać takich filmów. Nie wolno zapominać o widzu — to podstawowe przykazanie.

ODGŁOSY: Czy nie sądzi Pan, że taka postawa może pociągnąć za sobą niebezpieczne konsekwencje. Ostatnio oglądaliśmy kilka filmów, robionych pod tak zwaną publiczkę tandetnych i w złym guście.

J. DZIEDZINA: Mówiąc o filmach atrakcyjnych mam na myśli filmy inteligentne, filmy na dobrym poziomie. Trzeba robić filmy dla widza a nie pod widza. Nie wolno iść na łatwiznę ani schlebiać kiepskim gustom. Komedia też może być filmem ambitnym. W tej chwili jesteśmy świadkami wielu ciekawych eksperymentów w tej dziedzinie. Komedie Lestera są najlepszym przykładem łączenia ambicji artystycznych i walorów widowiskowych. A „Tom Jones" czyż nie był świetnym filmem, mającym zarazem ogromne powodzenie u publiczności?

ODGŁOSY: A jakie jest Pana zdanie na temat roli Zespołów Realizatorów Filmowych?

J. DZIEDZINA: Zespoły mają za małą autonomię. Należy dać im większą samodzielność i co za tym idzie, obarczyć większą odpowiedzialnością. Trzeba zespołom okazać zaufanie. To oczywiście pociąga za sobą pewne ryzyko. Ale chyba warto spróbować. Zespoły ponoszą konsekwencje moralne i finansowe, ale nie mają prawa ostatecznego zatwierdzania scenariuszy. A to nie jest słuszne. No i zespół powinien być zespołem, to znaczy kolektywem twórczym, a nie feudalnym gródkiem. W każdym razie moim zdaniem zespoły są potrzebne, nie należy ich likwidować.

ODGŁOSY: A teraz pytanie stereotypowe, nieodzowne w każdym szanującym się wywiadzie. Który ze swoich filmów uważa Pan za najlepszy, czy też najbliższy swemu sercu?

J. DZIEDZINA: Za najbliższy memu sercu film uważam niewątpliwie „Koniec nocy". Kręciliśmy go w straszliwych warunkach bez odpowiedniego przygotowania i zaplecza technicznego, ale z sercem, ogromnym entuzjazmem. To był film szczery, bardzo młodzieńczy. Najlepszy i najdojrzalszy warsztatowo jest chyba mój ostatni film „Bokser".

ODGŁOSY: No, a plany na najbliższą przyszłość?

J. DZIEDZINA: Zatwierdzenie scenariusza następnego filmu i wyjazd w góry na narty.

Życzymy wobec tego Julianowi Dziedzinie pomyślnych wiatrów i dużo śniegu i żegnamy się. Aha — dodaje (już w progu) — to pierwszy wywiad, jakiego udzieliłem łódzkiej prasie, dotychczas interesowało się mną tylko Radio.

ROZMAWIAŁA:
M. KORNATOWSKA

SPEKTAKLE tygodnia

TEATR

NOWY	„Kowal, pieniądze i gwiazdy", 6 spektakli	3.100 —	75%
	„Pan Drops i jego trupa", 1 spektakl	700 —	100%
NOWY Mała Sala	„Anioł na dworcu" 1 spektakl	200 —	100%
	„Śluby panieńskie" 4 spektakle	800 —	100%
	„Indyk" 1 spektakl	200 —	100%
JARACZA w teatrze ROZMAITOŚCI	„Namiestnik" 4 spektakle	2.520 —	100%
	„Biała diablica" 2 spektakle	1.260 —	100%
7.15	„Taka noc nie powtórzy się więcej" 3 spektakle	1.218 —	96%
	„Dobrze skrojony frak" 3 spektakle	1.266 —	100%
POWSZECHNY	„Pies ogrodnika" 4 spektakle	2.672 —	100%
	„My fair lady" 3 spektakle	1.963 —	99%
TEATR WIELKI	„Straszny Dwór" 2 spektakle	2.552 —	100%
	„Carmen" 2 spektakle	2.552 —	100%
	„Halka" 1 spektakl	1.276 —	100%
	„Książ Igor" 1 spektakl	1.276 —	100%

ROMAN ŁOBODA

„Namiestnik" w Teatrze im. Jaracza

Teatr im. Jaracza w Łodzi ma w swoim dorobku wiele udanych, a nawet znakomitych spektakli. O niektórych z nich miałem niewątpliwą przyjemność pisać („Caligula" i „Kto się boi Virginii Woolf?"). Ambitny rozwój tego teatru jest faktem, którego nie zdołają umniejszyć małe potknięcia.

Wystawienie „Namiestnika", sztuki Rolfa Hochhutha, jest nową, śmiałą próbą podjętą przez teatr.

„Namiestnik" młodego Niemca, odniósł na Zachodzie duży sukces. Jest to jednak sukces w większym stopniu publicysty niż dramaturga. Rolf Hochhuth, debiutant literacki, poruszył problem kontrowersyjny, a zarazem drażliwy. Ale powiedzmy sobie szczerze, że kontrowersyjność problemu d l a n a s nie jest tak ostra jak dla Niemców, i tak „odkrywcza" jak dla i n n y c h n a r o d ó w Zachodu.

Drażliwość problemu, która dodała sztuce pikanterii skandalu, ma u nas również inny wymiar.

Kontrowersyjność, jak mi się wydaje, dotyczy konfliktu: racja stanu, a racja milionów ludzi do zachowania życia. Wstyd pomyśleć, że tego rodzaju alternatywa nęka historię aż do czasów współczesnych. Kontrowersyjność w kategoriach moralnych — a jeszcze bardziej chrześcijańskich — powinna być żadna. W ujęciu politycznym zagadnienie może uchodzić za dyskusyjne, a przedstawienie go na deskach scenicznych, w surowym kształcie publicystycznego oskarżenia, za szokujące. Zbyt tragicznie odczuliśmy ludobójstwo podszyte „racją stanu", a nawet „ideologią", żeby problem „Namiestnika" mógł wywołać u nas kontrowersje.

Podobnie to, co mogło wydawać się niektórym na Zachodzie drażliwe, dla nas jest „tylko" drażnieniem podgojonych ran. Znamy te sprawy nie tylko z o wiele bardziej wstrząsającej literatury własnej.

„Namiestnik" na polskich scenach, to nie „sukces podszyty skandalem", to problem moralny widziany oczami Niemca. Refleksja spóźniona jak na typ „dramatu dokumentalnego", a zbyt jeszcze aktualna, aby zasługiwała na nazwę „egzorcyzmowania przeszłości". Kontrowersyjność z jednej, a memento zawarte w niej z drugiej, nie kwalifikują dramatu ani do katakumb, ani do archiwum.

Doraźność „Namiestnika" jest jego siłą i słabością. W reżyserowaniu dramatu na polskim gruncie siła niedużo pomaga, a ze słabością jest wiele kłopotu. Rolf Hochhuth napisał dzieło, którego pełny tekst odegrany na scenie, trwałby osiem godzin. Realizacja sceniczna wymaga oczywiście wyboru. Wybór (dokonany nie przez autora) zawsze będzie podporządkowany indywidualności dokonującego wyboru.

Reżyser spektaklu łódzkiego, Feliks Żukowski, oparł się na wyborze tekstu Kazimierza Dejmka. A szkoda, bowiem wybór w tym wypadku jest również kwestią temperamentu scenicznego, a to już determinuje koncepcję i realizację reżyserską.

Wbrew panującym gdzieniegdzie opiniom, jakoby teatr polityczny czy publicystyczno-polityczny był wdzięczną formą sceniczną i łatwą w realizacji, podejrzewam, że jest wręcz odwrotnie. Do takiej roboty trzeba nie byle majstra; a Hochhuth — przy całej akceptacji jego tezy dramaturgicznej, której kontury rysują się na scenie — to nie Brecht.

Materiał jest oporny i ani reżyserowi ani aktorom, nazbyt się nie poddaje. Statyczność wielu scen ciąży wszystkim, zarówno aktorom jak i publiczności. Wyrazistość i prawdziwość osób dramatu zaciera się w nieustającym dyskursie.

Na tle kapłanów strzegących racji stanu wstrzemięźliwą tonacja głosów, głos Ojca Ricardo Fontany (Józef Zbiróg), brzmi niezbyt żarliwie i tylko na słowo można wierzyć, że jest to postać, obdarzona romantycznym blaskiem bohaterstwa i zdolna do świadomego męczeństwa w imię prawdy ludzkiej. Prawdopodobnie Ojciec Ricardo Fontana, to postać na dużą kreację; być może wielka namiętność postawy młodego Ojca, właśnie na tle stoickiego chóru Ojców kościoła, oddałaby żywą tragedię ludzką.

„Namiestnik" jest niecodziennym przedstawieniem, i niewątpliwie budzi wiele nowych refleksji na stary temat.

Jeżeli zaś chodzi o kontrowersje, to chyba mogą one głównie dotyczyć wyboru tekstu i sposobu wystawiania u nas, tej niezmiernie dyskusyjnej artystycznie sztuki, którą mimo wszystko należy ocenić za jej wartości humanistyczne i w pewnym zakresie poznawcze.

„NAMIESTNIK" Rolfa Hochhutha. Wybór tekstu: Kazimierz Dejmek. Reżyseria: Feliks Żukowski. Scenografia: Władysław Daszewski. Teatr Jaracza.

Józef Zbiróg i Krzysztof Chamiec.

Jubileusz prof. dr Józefa Dutkiewicza

Prof. dr Józef Dutkiewicz to zasłużony uczony i dydaktyk, „prawdziwy humanista i prawdziwy pedagog" — jak powiedział na uroczystości jubileuszowej rektor Uniwersytetu Łódzkiego JM Prof. dr Józef Piątowski. Uroczystością tą uczcił Wydział Filozoficzno-Historyczny Uniwersytetu Łódzkiego oraz Łódzki Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego 40-lecie pracy naukowej prof. dr Józefa Dutkiewicza, którego dorobek naukowy obejmuje prawie 200 pozycji bibliograficznych. JM Rektor Uniwersytetu powiedział między innymi: „Ten upływ czasu jest pretekstem, jest okazjonalną okolicznością, aby wyrazić uczucia, które dla Wielce Szanownego Jubilata żywimy. Profesor Dutkiewicz jest nie tylko wielkim uczonym, ale także człowiekiem wielkiej skromności. Chcielibyśmy wyrazić szacunek, wdzięczność, uznanie i podziw, które doń żywimy".

Prof. dr Józef Dutkiewicz jest dyrektorem Instytutu Historycznego Uniwersytetu Łódzkiego oraz kierownikiem Katedry Historii Powszechnej Nowożytnej i Najnowszej. Instytutem kieruje od lat dziesięciu, Katedrą od dwudziestu. Naukowa Łódź bardzo wiele zawdzięcza czcigodnemu Jubilatowi. Już w czasie okupacji rodzą się kontakty profesora Dutkiewicza z Łodzią — w ramach tajnego uniwersyteckiego nauczania. W kwietniu 1945 roku profesor objął wykłady zlecone w ówczesnej Wolnej Wszechnicy w Łodzi, przekształconej wkrótce na Uniwersytet Łódzki. Równocześnie — już jako związany z Łodzią naukowiec — profesor Dutkiewicz należał do grupy entuzjastów, którzy w maju 1945 roku przystąpili do reaktywizacji środowiskowego życia naukowego i wznowienia przerwanej przez wojnę działalności Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego. Od tego czasu „profesor Dutkiewicz należy do tych nielicznych, którzy byli i są, a trudności ich nie odstraszają. Dzieli z kolektywem troski i kłopoty, jest zawsze niezawodnym, ofiarnym, koleżeńskim w dźwiganiu obowiązków, a skromnym i ukrytym, gdy bilansujemy nasze pozytywy" — mówiła na uroczystości jubileuszowej doc. dr Zofia Libiszowska — prezes Łódzkiego Oddziału PTH.

W okresie międzywojennym zainteresowania badawcze profesora Dutkiewicza koncentrowały się głównie na powstaniu listopadowym, dokładniej — na zagadnieniach dyplomacji i oddziaływania polskiego ruchu w skali międzynarodowej. Po wojnie profesor zajął się raczej walkami ideologicznymi, dziejami wewnętrznymi powstania listopadowego. Dość dużo uwagi poświęcił także problematyce wielkich wydarzeń rewolucyjnych w dziejach dziewiętnastowiecznej Francji. Drugim poważnym kierunkiem zainteresowań badawczych profesora Dutkiewicza jest metodologia nauk humanistycznych i literaturoznawstwo historyczne.

* * *

Obchodziliśmy jubileusz wielkiego uczonego, zasłużonego pedagoga, prawdziwego humanisty. Profesor Dutkiewicz jest jednym z tych, którym zawdzięczamy zdobycie przez Łódź po wojnie miana miasta akademickiego. Jednym z tych, którzy tworzyli łódzką naukową teraźniejszość, nadawali jej rozmach i rangę. Uroczystość jubileuszowa była więc skromnym wyrazem hołdu złożonego przez środowisko naukowe w imieniu społeczeństwa Łodzi czcigodnemu Jubilatowi.

(es)

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

„CZŁOWIEK" CALDERA NA WYSTAWĘ W MONTREALU

□ „Terre des Hommes" „Ziemia, planeta ludzi" — pod takim hasłem, będącym tytułem znanej książki Saint-Exupéry'ego, zorganizowana została w Montrealu w Kanadzie wystawa światowa, która trwać będzie od 30 kwietnia do 28 października br.

Na wystawie tej, na jednym z placów, zostanie ustawiona artystyczna konstrukcja „Człowiek", największa „rzeźba" świata, wzniesiona ze stali niklowej. Autorem dzieła jest mieszkający w Tours, we Francji, amerykański rzeźbiarz Aleksander Calder. Jest on twórcą monumentalnych, artystycznych konstrukcji tzw. stabilów (nieruchomych) i mobilów (ruchomych). Monumentalne dzieła Caldera znajdują się m. in. w pałacu UNESCO w Paryżu i na lotnisku Kennedy'ego w Nowym Jorku. Stabil „Człowiek" jest największym, co do rozmiarów dziełem Caldera, a jak twierdzą znawcy, dotąd najlepszym.

„Człowiek" ma ponad 22 metry wysokości i ok. 28 metrów szerokości. Waży 60 ton. Mimo swej wagi konstrukcja sprawia wrażenie lekkości i dynamiki. Wsparta w ziemię w sześciu punktach, wybiega płynnymi, krzyżującymi się liniami ku niebu.

Wykonanie „rzeźby" zostało zlecone przez International Nickel Company of Canada zakładom w Tours. Calder sporządził najpierw model o wysokości 50 cm, który następnie należało powiększyć 45 razy. Technicy wykonali kilkakrotnie makietę (m. in. z drzewa), a następnie zrobili model już z właściwego materiału, tylko że o wysokości 4 metrów. Model ten poddawano następnie rozmaitym próbom. Stwierdzono np. że konstrukcja wzniesiona w Montrealu wytrzyma napór wiatru o szybkości do 200 km na godzinę. Do pracy nad właściwą już konstrukcją przystąpiono w lutym ubiegłego roku. Obecnie „Człowiek" został ustawiony w Tours, gdzie odbył się uroczysty pokaz, w którym wzięli udział m. in. ambasador kanadyjski we Francji i komisarz generalny wystawy w Montrealu.

Stabil zostanie wkrótce rozebrany na poszczególne elementy, zapakowany do dwunastu skrzyń i załadowany na okręt, który przewiezie „Człowieka" do Kanady.

„Człowiek" — Caldera

„HISTORIE ZA ŚCIANAMI"

□ „Kocham cię" — szepczą sobie wzajemnie zakochani. Z okna mieszkania naprzeciwko wychyla się małoletni Makoto (Yoichi Yasukawa) i przez lornetkę przygląda się miłosnej scenie. „Historie za ścianami" są debiutem filmowym trzydziestoletniego japońskiego reżysera nazwiskiem Koji Wakamatsu. Jego ambicją było stworzenie filmu mówiącego o przeciętnym życiu, przeciętnych ludzi, w społeczeństwie gdzie mężczyzn zżera monotonia biura, a kobiety wśród domowej atmosfery ulegają frustracji. Nuda, troski i jałowość życia stwarzają podłoże dla wybujałego seksualizmu, wiodą do zboczeń.

Drastyczność scen sprawiła, że japońska cenzura wstrzymała „Historie za ścianami". Następnie zgodzono się, aby film wszedł na ekrany, ale pod warunkiem wycięcia wielu scen. Ponieważ film stał się przez to krótki, dokręcono zbiorowe sceny z japońskiej ulicy i z życia giełdy. Teraz komisja uznała, że obraz stał się mniej demoralizujący i pozwoliła na wyświetlanie go. Małoletni chłopiec Makoto, bohater filmu, podniecony podglądaniem tego, co nie jest przeznaczone dla dzieci, i oglądaniem fotograficznych aktów, zaczyna swe seksualne doświadczenia, początkowo na sobie samym, potem uwodzi własną siostrę, później idzie do kobiety, którą podglądał. Nie osiągnąwszy, mimo zachęty z jej strony, spodziewanego efektu, zabija ją.

Film zawiódł jednak oczekiwania jego twórcy. Jest raczej montażem drastycznych seksualnych scen, niż twórczym postawieniem problemów socjalnych, jest raczej rozwlekły niż celny i demaskatorski w ukazaniu społecznej prawdy. Amatorom zaś oglądania erotycznych scen przynosi zawód. Bowiem w momentach kulminacyjnych ukazuje jedynie kurczące się palce stóp.

BEZIMIENNI BOHATEROWIE — AKTORZY

□ W dniu 31 maja ubiegłego roku zginął podczas swej pracy Gil Delalamare, jeden z tych niewielu ludzi, którzy podczas nakręcania filmów, w scenach grożących życiu, zastępują aktora. To oni, kaskaderzy (les cascadeurs) wykonują karkołomne skoki z okien, oni prowadzą samochody, które roztrzaskują się na kawałki, oni biorą udział w scenach bijatyk lub spadają z galopujących koni.

Na pięć filmów, jakie oglądamy, przynajmniej w jednym występują kaskaderzy. A my śledząc nieraz niebezpieczne przygody bohatera filmowego nie zdajemy sobie nawet sprawy z tego, że to nie nasz ulubiony aktor, ale ktoś inny, kaskader, spada ze skały lub wyskakuje z helikoptera. W jednym z ostatnich numerów francuskiego tygodnika „Paris Match" znajdujemy ciekawy reportaż o pracy kaskaderów. Są aktorami, ale nie należą do związku aktorów. W Ameryce są specjalne szkoły przygotowujące do tak niebezpiecznego zawodu jak kaskaderzy. W Europie takich szkół nie ma. Tu kaskaderem zostaje się zazwyczaj przez przypadek. Z jakich zawodów werbują się głównie ci ludzie? Najczęściej są to dawni zapaśnicy, akrobaci cyrkowi, byli piloci. Kaskaderami są zazwyczaj mężczyźni, ale trafiają się i kobiety. I tak np. jedna z nich jest Michèle Delacroix. Ma 26 lat, 1,66 m wzrostu, waży 55 kg. Mając lat 17 przedstawiła podrobione zezwolenie rodziców na uprawianie skoków spadochronowych. Michèle szybko osiągnęła wybitne wyniki w tym trudnym i niebezpiecznym sporcie. Wkrótce zaczęła się angażować do filmu w charakterze kaskaderki.

Jej przyjaciółka Odile Astié była razem z Gilem Delamare w scenie, która dla niego zakończyła się śmiertelnym upadkiem. Odile zaś ciężko ranna do dziś jeszcze nie może wrócić do swej pracy.

Jakie sceny są najbardziej niebezpieczne? Skoki do wody, nawet w aucie czy na motocyklu, nie są najniebezpieczniejsze. Spadanie z wysokości dziesięciometrowej lub większej też nie stanowi poważnego niebezpieczeństwa. Położone na ziemi puste kartony amortyzują siłę uderzenia, choć trzeba dużej zręczności i wprawy, aby nie złamać ręki, nogi lub nie skręcić karku. Ale najbardziej ryzykowne są sceny z ogniem. Wprawdzie kaskader ubrany jest w azbest, ale twarz, ręce, nogi nie chronione są przed ogniem. Tu sekundy mogą decydować o życiu. Przy pracach z największym ryzykiem kaskader otrzymuje ok. 5.000 franków, przy najmniej niebezpiecznych ok. 200. Ostatnio modna stała się akrobacja na spadochronie. I to była specjalność Gila Delamare.

Zawodu kaskadera nie można uprawiać długo. Co ci ludzie mają potem robić? W większości wypadków zostają aktorami (już bez ryzykownych wyczynów), lub reżyserami. Toteż prawie wszyscy kaskaderzy podczas uprawiania swego niebezpiecznego zawodu kształcą się w tym kierunku.

* * *

Engelbert Humperdnick długo musiał czekać na pierwszy wielki sukces płytowy, upłynęło prawie dziesięć lat ciężkiej pracy i małych sukcesów. Engelbert debiutował jako piosenkarz w 1958 roku. W roku tym występował w rozrywkowych programach telewizyjnych, a w roku 1959 nagrał pierwszą płytę „I'll never fall in love again". W tym czasie był on znany jako Gerry Dorsey, a jako datę swoich urodzin podawał rok 1936. Obecnie nie tylko zmienił nazwisko, ale wytwórnia płytowa Decca jako datę jego urodzin podaje rok 1940. W tej chwili Engelbert wkroczył na listy bestsellerów nagraniem „Release me".

* * *

Piosenką „Here comes my baby" powrócił na listy bestsellerowe po blisko trzyletniej przerwie znany i popularny u nas zespół the Tremeloes. Ostatnim wielkim ich przebojem było nagranie „Some one" które cieszyło się wielką popularnością w czerwcu 1964 roku. Piosenka „Here comes my baby" (kompozycja Cat Stevensa) została nagrana bez głównego wokalisty grupy Brian Poole (poprzednia nazwa zespołu Brian Poole and the Tremeloes). Brian Poole występuje obecnie w kabaretach a w najbliższej przyszłości planuje stworzyć własną nową grupę akompaniującą.

* * *

Grupa the Walker Brothers odbyła niedawno bardzo udane tournee po Australii. Zespół był niezwykle entuzjastycznie i gorąco przyjmowany, zwłaszcza przez młode Australijki. Na widowni dochodziło do zbiorowych histerii, a po koncercie w Sydney, 17 zemdlonych dziewcząt odwieziono do szpitala.

* * *

Jednym zdaniem: Kossela prawdopodobnie opuści zespół Czerwone Gitary... Donovan otrzymał Złotą Płytę (1 000 000 sprzedanych płyt) w Ameryce za nagranie Mellow yellow... Piosenka „Alfie" wielki przebój Cilli Black doczekała się 21 wersji... Na tournee do Polski przybędzie angielski zespół the Majority... Gitarzysta Gene Clark opuścił grupę the Byrds...

J. J. J.

POLONICA

MICHAŁ SZOŁOCHOW O NAGRODZIE „ZŁOTY KŁOS"

Niedawno w ambasadzie PRL w Moskwie odbyła się uroczystość wręczenia dorocznej nagrody „Dziennika Ludowego", ZG ZMW i Ministerstwa Kultury i Sztuki „Złoty Kłos" — Michałowi Szołochowowi, który w roku ub. zdobył pierwsze miejsce w plebiscycie na najpopularniejszego pisarza. Oto co powiedział wielki pisarz odbierając z rąk ambasadora Edmunda Pszczółkowskiego przyznaną mu nagrodę:

„Towarzyszu ambasadorze! Wysoko cenię przyznanie mi nagrody „Złotego Kłosa". Jest ona dla mnie podwójnie droga, ponieważ otrzymuję ją od Czytelników z kraju, który obdarzył świat wielkimi ludźmi w dziedzinie literatury, sztuki i nauki. Jestem również wdzięczny wszystkim organizatorom konkursu i za Waszym pośrednictwem proszę przekazać wyrazy wdzięczności polskim Czytelnikom".

Na zakończenie pisarz dodał, że w roku bieżącym odwiedzi nasz kraj, w którym był ostatnio w 1948 roku.

(ei)

„LITIERATURNAJA GAZIETA" O CYBULSKIM

Tragiczna śmierć Zbigniewa Cybulskiego pogrążyła w smutku nie tylko wielbicieli jego talentu, ale i cały świat kulturalny.

Tygodnik „Litieraturnaja Gazieta" w swym drugim numerze ze stycznia br. przynosi artykuł poświęcony zmarłemu aktorowi, pisząc o nim jako o ulubieńcu publiczności na całym świecie i jednym z najciekawszych artystów współczesnego pokolenia.

Autor artykułu Michaił Kozakow, podkreśla, że imię Zbigniewa Cybulskiego jest nierozerwalnie związane z rozwojem polskiej kinematografii. Zasługą aktora jest nie ilość filmów, w jakich występował, lecz sposób w jaki odtwarzał losy człowieka, losy związane z powojennym pokoleniem.

(ei)

POLONICA

Z cyklu: Sylwetki łódzkich plastyków

HENRYK PŁÓCIENNIK

Usłyszałem od kogoś z okazji jakiejś wystawy: „Gdyby Płóciennik zapomniał, że gdzieś; pod słońcem żyje i tworzy niejaki Gielniak — mógłby być dobrym grafikiem". Z pracami Płóciennika zetknąłem się jakieś trzy lata temu i od tej pory śledzę je pilnie na wszystkich, dostępnych mi wystawach. Interesują mnie z wielu względów. Ich autor jest bez wątpienia — przynajmniej na gruncie łódzkim — indywidualnością. Zanim skreślę tu kilka uwag o jego grafikach uważam za rozsądne zaznaczyć, że jest on samoukiem, który nigdy nie przekroczył progu żadnej uczelni artystycznej i nie doświadczył wątpliwej przyjemności wysłuchiwania korekt profesorów. Zaczął od malarstwa, które uprawia zresztą do dnia dzisiejszego; od roku 1962 zajmuje się prawie wyłącznie grafiką artystyczną. W tej chwili ma na swoim koncie uczestnictwo w kilkunastu wystawach krajowych i zagranicznych, szereg nagród i wyróżnień z których najważniejsza, to złoty medal na I Festiwalu Sztuki w Warszawie w roku ubiegłym za cynkografię pt. „Połów". Nie będę wymieniał wszystkich sukcesów Płóciennika, znajdzie je bowiem Czytelnik w katalogach wyliczone nader skrupulatnie.

Doszukiwanie się w linorytach i metalach Płóciennika wpływów Gielniaka jest moim zdaniem pozbawione sensu. Dowodzi powierzchowności w ocenie jednego i drugiego, absolutnego niezrozumienia istoty ich sztuki i nieorientacji w źródłach inspirujących. Wszystko ich dzieli. We wszystkim są inni. Nawet jeżeli Płóciennik nauczył się czegoś od mistrza z Bukowca, to jego zmysł estetyczny i konstrukcja intelektualna przetworzyły wpływy w sposób tak dalece indywidualny, że sztuka jego stała się już czymś jakościowo innym. Podczas gdy Gielniak zapatrzony we własne, wewnętrzne światy oscylujące między ulotnością zjawy sennej a pozorami realności, między tajemną magią zagmatwanej do granic absurdu rzeczywistości, a widzeniem nierzeczywistym, usiłuje rylcem ustanowić na wskroś osobisty porządek intelektualno-moralny i zatrzymać go w ruchu na samej krawędzi ostateczności, Płóciennik zajęty jest bez reszty światem realnym, całą różnorodnością jego bogactwa. Gdy Gielniak zstępuje na samo dno piekła, albo ulatuje na niebosiężne wyżyny, Płóciennik stąpa zdecydowanie po ziemi i z niej jak ów mitologiczny Anteusz czerpać zdaje się siły i twórczą inwencję. Gielniak jest filozofem i moralistą. Buduje swoje makro- i mikrokosmosy z linii giętkich, pajęczych, wijących się w splotach i zwojach, tworząc magiczne rojowiska scalone tajemniczą magmą, wzajemnie przyciągające się, ale nie przyciąganiem ziemskim, a jakimś zupełnie innym, które on sam stworzył i którego prawa są tylko jemu znane. W przeciwieństwie do niego Płóciennik — to radosny i ufny obserwator, oszołomiony nieco i zaskoczony wielością form, zdarzeń i rzeczy widzialnego świata. Układają się one w jego świadomości niczym barwne szkiełka kalejdoskopowe, w coraz to inne wzory, w coraz inne sekwencje powiązane bardziej fizycznymi niż moralnymi, czy etycznymi więzami. Frapuje go drobiazg, detal, szczegół, a patrząc na świat z pewnego dystansu, widzi go jako przebogatą mozaikę. Nie przenika do jego wnętrza, nie utożsamia się z nim, ale też sam chroni się za murem obiektywizmu. Budowniczowie starych kultur wznosili budowle z głazów idealnie ociosanych, dopasowanych do siebie, bez zaprawy wiążącej. Rzeczywistość Płóciennika jest taką właśnie budowlą złożoną z idealnie dopasowanych elementów. Usunięcie któregokolwiek z nich, chociażby najmniejszego czyni w całej strukturze wyrwę, burzy jej harmonię, wprowadza dysonans sprawiający, iż estetyka całości staje się nie do przyjęcia.

Poszedł Płóciennik jeszcze dalej — zupełnie zatracił, zatarł to, co nazywa się „śladem narzędzia", indywidualizmem samej techniki linorytu czy drzeworytu. Stąd bezosobowość jego grafik, które porównać można z bezosobowością zegarka na przykład. Ten spokój i cisza prac graficznych Płóciennika wytwarza jednak nastrój pewnej monotonii, która przy dłuższym z nimi obcowaniu potrafi nawet zmęczyć. A wtedy chciałoby się rozdrapać, rozkrwawić ten spokój i ład, maznąć czarną krechą. Zanadto estetyczne, nazbyt galanteryjne! Niech nie będą tak doskonałe, wypracowane! Niech, choć trochę ułomne zaczną żyć! W sztuce konieczna jest jakaś „niedoskonałość", odrobina brutalności, jakaś krzywizna. Bo sztuka jest wtedy bardziej ludzka, żywsza, bliższa prawdy. Świat Płóciennika ma w sobie także coś z bajki. Opowiedziany jest ładnie i składnie i ładny jest jak każda bajka. Ale bajka ma zwykle morał. Opowieść Płóciennika tego morału, pointy istotnej jeszcze nie posiada. Wydaje mi się, że po opanowaniu warsztatu co w tej dyscyplinie sztuki jest sprawą bardzo istotną, a co artysta ten osiągnął w dużym stopniu, czas pomyśleć o treści. Nie ma sztuki bez idei, bez myśli, bez duszy. Mogą być co najwyżej mniej lub bardziej estetycznie odrobione plansze graficzne. A nie o to przecież chodzi.

A. GRUN

H. Płóciennik — linoryt — „Połów"

ROMAN GORZELSKI

ŻOŁNIERZE Big-beat i PIENIĄDZE

Angielskie ulice nie są jedynie traktem komunikacyjnym. To również miejsce, w którym w sposób łatwy i jakże skuteczny można namawiać umiejących czytać obywateli, by kupowali tanie, pożywne i smaczne pomarańcze, sprowadzone prosto z Hiszpanii, soki owocowe, papierosy wysokiej jakości, również wysokiej jakości tytonie fajkowe i dziesiątki innych artykułów spożywczych i przemysłowych.

Olbrzymie kolorowe plakaty nie oszczędzają nawet kierowców prowadzących samochody, zaglądają im w oczy zwisając z mostów kolejowych, pod którymi przebiegają drogi. Takimiż plakatami oklejona jest każda stacja londyńskiego metro. I nikt się temu zbytnio nie dziwi, bo Anglicy to naród kupców i żeglarzy, a dobrze zorganizowana reklama jest, jak wiadomo, dźwignią handlu, a w handlu wszelkie chwyty są dozwolone, byleby interes dobrze prosperował. Anglicy sporo pieniędzy wydają na reklamowanie swoich towarów, które przeważnie są wysokiej jakości i w większości przypadków bardzo estetycznie opakowane, dlatego też za granicą napis „Made in England" wzbudza u kupujących zaufanie. Czasami jednak samo opakowanie, w przeliczeniu na pieniądze, jest więcej warte niż produkt znajdujący się wewnątrz pięknego pudełka. Ale strata firmy, nazwijmy ją umownie „X", jest tylko pozorna, bowiem na owym opakowaniu firma „X" reklamuje swoje inne wyroby starając się w ten sposób przyzwyczaić do siebie konsumenta i przeciągnąć na swoją stronę, nawet jeśli jest on odbiorcą podobnych towarów wytwarzanych przez konkurencyjną firmę „Y". Producent, znając psychologię tłumu, wie że ładne i rzucające się w oczy opakowanie — to już połowa powodzenia, a przyzwyczajenie do swoich wyrobów będzie tylko konsekwencją umiejętnego wyszukiwania klienta. Dlatego na reklamę w Anglii przeznacza się zawrotne sumy, a same opakowania rocznie pochłaniają trzydzieści pięć milionów funtów, ale przeciętny Anglik nie musi o tym wiedzieć, chociaż niewątpliwie przyjemność mu sprawia fakt, kiedy kupując zwykłą czteropensową pocztówkę otrzymuje ją w ładnej, upstrzonej wprawdzie różnymi napisami kopercie.

Reklama w Anglii, jak wiele zresztą rzeczy w tym kraju, ma kilkuwiekową tradycję i nic w tym dziwnego, że nawet tak poważna instytucja jak British Army, odczuwająca ostatnio poważne braki nowych kadr, wyszła z kuszącymi propozycjami na ulicę. I w tym przypadku także nie poskąpiono pieniędzy. Wielkie kolorowe kilkumetrowe plakaty pt. „This is the Army" (to jest wojsko) można zobaczyć nawet w najmniejszych miasteczkach Wielkiej Brytanii. Na plakatach opaleni żołnierze w mundurach z zawiniętymi rękawami ukazywani są przeważnie w akcji bojowej. Na tle lasu, często egzotycznego (Afryka, południowa Azja), na tle kolumny czołgów, z karabinami w ręku, w kaskach ochronnych, patrolujący obszary nawet takie, w których rzadko pojawia się biały człowiek. Na takiej propagandowej planszy można też zobaczyć żołnierza szkockiego w paradnym stroju, ubranego w kraciastą spódniczkę, w kubraczek i w kolorową czapeczkę z pomponem. A oto inny obrazek z wojskowej reklamówki: amfibia wypełniona żołnierzami w pełnym uzbrojeniu z karabinem maszynowym gotowym do strzału skierowanym prosto w przechodniów — patrolu je daleką rzekę na wyspie Borneo.

Nie wiem ilu młodych Brytyjczyków dało się namówić na te bardzo zresztą korzystne i pełne romantyki oferty. Widocznie wciąż jest ich za mało, bo plakaty typu „This is the Army" w dalszym ciągu pojawiają się i na ulicach i na szpaltach najbardziej poczytnych gazet, proponując nawet za dopłatą (trzynaście funtów tygodniowo) mężczyznom od lat siedemnastu zwiedzenie Hongkongu, Singapuru, Borneo, Australii, Niemieckiej Republiki Federalnej i innych „posiadłości" brytyjskich. Wszystko to można bardzo łatwo osiągnąć pod warunkiem, że się włoży mundur wojskowy. I już w mundurze, oprócz przyjemności podróżowania, przyjemności obfitujących w liczne przygody, można otrzymać sześć tygodni urlopu, uprawiać wszelkie istniejące sporty od piłki nożnej i boksu począwszy aż po krokieta i to za dość wysokim wynagrodzeniem.

Tak się złożyło, że w północnej części Anglii miałem okazję zwiedzić teren koszar przeznaczonych do ćwiczeń letnich. Była jesień i koszary o tej porze roku świeciły pustką i... przysłowiową już angielską czystością. Zresztą obóz wcale nie przypominał terenu wojskowego. Budynki te swoim wyglądem sprawiały wrażenie kolonii campingowej. Nie było drutów kolczastych, tylko zwykłe niskie ogrodzenie, szlaban był podniesiony do góry, a obok stała pusta budka wartownika.

Zatrzymałem się tu z pewnym Anglikiem w drodze do Szkocji. Prawdopodobnie Tom chciał zobaczyć jeszcze raz to miejsce, w którym musiał stać na baczność, czołgać się, salutować i wykonywać niejednokrotnie wiele bezmyślnych rozkazów.

— Dali mi tu porządnie w kość! — powiedział Tom i uśmiechnął się. Widocznie miał jakieś skojarzenia. Teraz nie był już w mundurze, a ubranie cywilne pozwalało mu traktować z lekceważeniem zupełnie niedawną wojskową przeszłość. — Ale to nic. Należy kolekcjonować doświadczenia. Przydają się. I teraz wiem między innymi i to, dlaczego się mówi, że najgorsi w wojsku są kaprale.

Tak o wojsku myśli Tom, młody Anglik, który skończył socjologię na uniwersytecie w Oxford. Wiem, też, że dla takich jak on plakat z napisem „This is the Army" jest po prostu pustym nic nie znaczącym dźwiękiem. Ale nie tylko młodzi „high educated" (wykształceni) nie pałają sympatią do wojska. Taką samą niechęć wyczuwa się w wypowiedziach prostych londyńskich chłopaków. Oto co mówi jeden z nich:

— Robimy to na co mamy ochotę i co daje nam zadowolenie. Nie liczymy się z opinią innych. Niech myślą co chcą. Trzymamy się z daleka od wszelkich kłopotów społeczeństwa. Nie chcemy by się nami interesowano, a to że ostatnio ludzie cierpią na brak czasu, bardzo nam odpowiada. Im się wydaje, że sprawiają nam przyjemność, kiedy dają nam broń i wysyłają do Jemenu albo na Cypr... My wolimy big-beat, Dusty i Beatlesów, ale nie wariujemy na ich punkcie! Po prostu za niczym nie wariujemy...

I oczywiście, prawdą jest, że młodzież angielska woli szybki wrzaskliwy rytm niż karabin. Stąd popularność Ringo, Lennona, Cliff Richarda czy Dusty Springfield, którzy przynoszą olbrzymie dochody Imperium Brytyjskiemu, no i przy okazji sami stają się milionerami, a Dusty Springfield — koronowana najwybitniejsza piosenkarka świata roku 1966, lekką ręką wypłaciła odszkodowanie niejakiej Miss Ida Metzger, lat 63, którą to staruszkę panna Mary O'Brien używająca pseudonimu estradowego „Dusty Springfield", potrąciła swoim samochodem, jadąc zbyt szybko późnym wieczorem i to w dodatku w ciemnych okularach. Zresztą ciemne okulary Dusty Springfield były przyczyną niejednego takiego wypadku. Dlatego też dość wysoki jest wyrok sądowy: dwa tysiące funtów na rzecz poszkodowanej staruszki.

Ale skoro jesteśmy przy pieniądzach, należy przypomnieć, że niebawem bo już w roku 1971 w Zjednoczonym Królestwie Wielkiej Brytanii zapanuje dziesiętny system monetarny. Banknoty funtowe pozostaną nienaruszone.

Zmianie ulegną jedynie banknoty dziesięcioszylingowe (popularne „boby") oraz pozostałe monety szylingowe, korony i pensy. Nowy funt będzie miał sto pensów, ale zarówno Brytyjczykom, którzy już teraz z tego powodu okazują swoje niezadowolenie, jak i rozsianym po całym świecie anglofilom, trudno będzie do tego nowego systemu monetarnego się przyzwyczaić. W dodatku nazwa „szyling" już za cztery lata pozostanie słowem archaicznym. No cóż wzdychają Anglicy, na tym świecie nie ma nic stałego. Wszystko się zmienia. Nawet w przysłowiowej, konserwatywnej Anglii.

ZASŁYSZANE HISTORIE STAREJ i NOWEJ ŁODZI

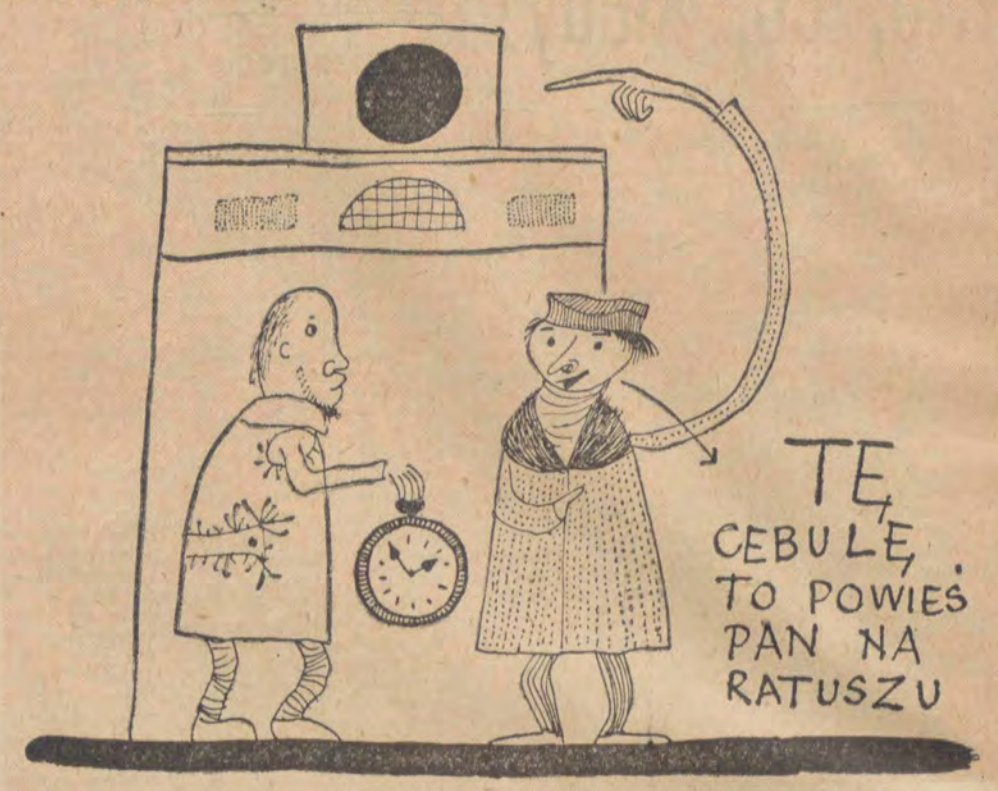

Zegar tkacza Strzały

Długachny był onczas trakt piotrkowski. Ciągnął się prawie z milę poprzez całe miasteczko Łódź nad Łódką. Blisko sto pięćdziesiąt lat temu, przy nowym rynku wybudowano okazały gmach burmistrzowski — bliźniak ratusza łowickiego.

Zdarzyło się, że wędrował tym traktem jakiś tkacz rodem z Wielkopolski z okolic Inowrocławia. Przemyślny to był facet, posiadał nawet zegarek na łańcuszku, taki, jaki jego prawnuki nazwaliby niechybnie starą cebulą z dewizką... Przywędrował tu za pracą, za chlebem i stanął sobie na nowym rynku łódzkim, gdzie dopiero — co pobielono ratusz. Aż tu nagle, coś mu nad uchem dzwoni rozgląda się wokoło, a to na wieży przeciwnej, na kościele bije dzwon — dwunastą w samo południe! Spod dzwonu drut mosiężny biegnie nad kocimi łbami ówczesnej Piotrkowskiej — wprost do samego zegara na wieży ratuszowej. — Tu coś musi nie tak być — rzekł sobie tkacz, gdy zauważył, że zegar na wieży posiada tylko jedną i to tę małą wskazówkę i pokazuje wyłącznie godziny. Życie wlokło się w tej osadzie tkackiej ospale w sam raz nadążało za taktem drewnianych, ręcznych krosien i tak w kółko, jak przy ręcznych wrzecionach.

Tkacz z Wielkopolski, nazwijmy go Panem Strzałą, wyciągnął swoją poznańską cebulę na złotej dewizce, zaczął porównywać te czasy i coś mu nie sztymowało. A że był dobrotliwy i dobroduszny, wpadł na pomysł, by zgłosić się do burmistrza z uwagą, że on tą drugą strzałkę minutową dorobi w czynie społecznym, za darmo, niech łodziaki poznają akuratnych poznaniaków. Któryż z prezydentów miasta nie przystałby na taką propozycję zważywszy, że w Łodzi od trzydziestu lat ani jeden zegarmistrz nie mieszkał... Gdy zegar łódzki stawał, goniono aż do Zgierza czy Ozorkowa by stamtąd sprowadzić różnych majsterklepków — do jednej wskazówki...

Pan Strzała sporządził rychło drugą wskazówkę! Wnet zegar zaczął się szybciej obracać i ludziom się zdało, że wskazówki coraz szybciej się gonią. Od tego to momentu piotrkowskim, fabrycznym traktem popłynął wartki prąd ludzi i wozów z manufakturą... i tak płyną, pędzą nie mogąc się zatrzymać do dziś dnia — po tej naszej ukochanej Pietrynie — dziś nie może tych ludzi zatrzymać ani wyrzucenie tramwajów poza bruk te Bigla (jak się mówi na przedmieściu starego miasta Łodzi — Bałutach), dziś nie może ich zatrzymać nawet czasowa reperacja zegara ratuszowego i kiedy on staje, bo wiekowy — ludziska pędzą dalej...

OPOWIADA — Zdzisław Konicki
RYSUJE — Wacław Kondek

Lewym okiem

O WYCINANIU STARODRZEWU

Ścisłe, dosłowne wykonywanie wszystkich zarządzeń, przestrzeganie absolutne wszystkich nakazów i zakazów jest — jak wiadomo — po pierwsze niemożliwe, po drugie może prowadzić do nieszczęścia. Jeśli istnieje zakaz przechodzenia jezdni poza oznaczoną pasami „zebrą", to powinienem dać się na tej zebrze przejechać, a nie uskoczyć poza nią, obrażając tym samym odnośny przepis.

Czytaliśmy już nie raz o wynalezionej niedawno metodzie manifestacji i walki strajkowej: pracownicy celni na przykład ogłaszają, że będą stosować ściśle wszystkie przepisy, jeśli nie uzyskają podwyżki płac. Skutek? Sparaliżowany ruch graniczny, tysiące samochodów czekających na odprawę; przepisy są w całej rozciągłości uhonorowane, a sytuacja staje się nie do zniesienia. Dobra metoda, bo i skuteczna, i dowcipna.

W którymś z krajów — bodajże we Francji — istnieje specjalny rodzaj zaszczytnego odznaczenia: medal za nieposłuszeństwo. Medal ten otrzymują ludzie, którzy mieli odwagę złamać przepis, przekroczyć prawo, narazić się na sankcję — celem ratowania wartości, w danym momencie najważniejszych. Ten medal jednak przyznaje się bardzo rzadko, żeby nie nasunąć przypuszczenia, że nie zawsze prawo broni właśnie wartości najważniejszych.

Można by sformułować zasadę, że w wielu krajach świata dopuszcza się przekraczanie prawa w sytuacjach zupełnie wyjątkowych, przymusowych, wymagających od człowieka natychmiastowego wyboru i podjęcia decyzji, od której zależy życie ludzkie lub ocalenie innej jakiejś bardzo istotnej wartości.

Tak jest w wielu krajach świata. W naszym rzecz ma się raczej odwrotnie: jeśli się tylko da — omijać prawo i przepis, a stosować się do niego tylko wtedy, kiedy już naprawdę inaczej nie można, albo kiedy po prostu nie opłaca się minimalne nawet ryzyko. „Przepisy są po to, żeby je omijać" — tę zasadę, wypowiadaną może żartobliwie, ale pomyślaną zawsze serio, słyszymy nieraz nawet na bardzo poważnych konferencjach, od strony stołu prezydialnego.

Zbyt często życiem naszym rządziły nakazy i zakazy wroga. Chyba dlatego przyzwyczailiśmy się nie uznawać prawa za imperatyw postępowania.

No, ale przecież rządzenie, administrowanie, gospodarowanie nie jest możliwe bez respektowania decyzji organów nadrzędnych przez ogniwa podrzędne. Co by tu zrobić, żeby podnieść w społeczeństwie poszanowanie dla prawa?

Przede wszystkim — o czym już nawet w tym kąciku mówiłem parę razy — ograniczyć ilość przepisów. Gdy ich jest za dużo, wszystkie razem są mniej warte; zupełnie jak z tą brazylijską kawą, którą rzuca się w morze dla utrzymania ceny na rynkach. Niektóre opasłe zbiory przepisów też by tak można. A po drugie: te przepisy, które muszą obowiązywać — poprawiać ciągle, poprawiać natychmiast, gdy się okaże, że czemuś pozytywnemu stoją na drodze, że są drągiem między szprychami jakiegoś kółeczka.

Przed paroma dniami oglądałem polski film, poświęcony sekretarzowi powiatowemu w Kazimierzy Wielkiej. Sekretarz jest bez wątpienia bohaterem pozytywnym. Przez cały film przewija się jak refren: co tam przepisy, patrzcie, jak pięknie można działać, jeśli ich się nie honoruje! Ledwie spiker odczyta zarządzenie z powołaniem się na numer Dziennika Urzędowego lub Monitora, na przykład o tym, że zakazuje się wyrębu starodrzewu, a już ekran wypełniają walące się ogromne dęby i topole. Spiker — znów bardzo urzędowo, że kanalizację zakłada się pod takimi a takimi warunkami, a na ekranie dzielni ludzie z Kazimierzy Wielkiej, nie bacząc na warunki już kopią i zakładają rury. Spiker o bezpieczeństwie i higienie pracy, a Kazimierza buduje aż trzeszczy, bo: „jak już coś stoi, to mniejsza o przepisy".

Sekretarz jest na pewno dzielnym, bohaterskim działaczem. Kazimierza dużo mu zawdzięcza. Czy jednak taki wydźwięk filmu jest właściwy, mało tego: czy jest cenzuralny? Czy jeszcze urbi et orbi trzeba wołać: nie liczcie się z przepisami, one są głupie, a ludzie, którzy ich na ekranie próbują bronić, to antypatyczne, tłuste urzędasy...

Bo żeby choć wzmianka o tym, że sekretarz walcząc z bezdusznością przepisów obalał je, powodował ich rewizję. Nie, on się tylko z nimi nie liczył i dzięki temu mamy pozytywnego bohatera.

Aż strach, proszę państwa, wyciągać wnioski...

ĆWIEK

OD REDAKCJI

Zaniepokojonych Czytelników prasy łódzkiej zapewniamy, że ob. Badziak, autor wypracowania pt. „Ustrzelenie grafomana", (Dziennik Łódzki z 19. II. 1967), nie posiada broni palnej ani godnych uwagi umiejętności strzeleckich. Nie jest więc prawdą, iż wspomniany elaborat zapowiada rychłe targnięcie się ob. Badziaka na własne życie. Natomiast prawdą jest, że ów tekścik stanowi osobliwy popis manier i kultury osobistej ob. Badziaka.

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 508. II. 1967 r. O-2.